

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 7 LIPCA 1928 ROKU

NR 28

TREŚĆ NUMERU: Harcerstwo żeńskie — Z. Zaleska. Psychika niewolnika a... kodeks honorowy — Dr. Herminja Naglerowa. O kobiecie międzynarodowej — M. H. Szpyrkówna. Poezje: „Niebieski gość” — Anna Stonczyńska. W starem lustrze — Bronisława Ostrowska. Panna Ada — Zofja Sikorska. Kobieta w epoce Odrodzenia — Paula Lamowa. Z teatrów — S. P. O. Z książek — S. P. O., Z. M. i nh. Kobieta w świecie i w domu — Z. Zal. H. S., N. J. i M. Morzkowska. Ile wart jest czas? — N. J. Dziesięć dni w Czechosłowacji (dok.) — M. Karczewska. Florales w Gandawie — T. Retniger Zubrzycka. Na wycieczkę — Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie — Pani Elżbieta. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Szale i apaszki — Well. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — M. Benisławska. Arkusz wzorów.

HARCERSTWO ŻEŃSKIE

„Harcerstwo żeńskie — z małej dziewczynki, powierzonej opiece brata-harcera — wyrosło na samodzielnego, odważnego, twórczego człowieka czynu.” (Ulotka złotowa harcerek.) — Dumne słowa, gdy się je mówi o sobie.

Człowiek czynu — to człowiek, tworzący nowe wartości, wnoszący do życia inicjatywę i wykonanie, torujący drogi innym. Ale człowiekiem czynu można nazwać i Rockfellera, który fortunę swą zbudował na ruinie 40.000 rodzin. Człowiekiem czynu był... Lenin... Samodzielność, odwaga — to jeszcze mało. Trzeba energję i myśl skierować przez pryzmat serca, by twórczość stała się Czynem, wnoszącym w życie wartości dodatnie.

Ideologia harcerska korzeniami swemi tkwi w dawnej polskiej ideologii rycerskiej, która wychowywała typy na miarę Zawiszy Czarnego. Honor, nakazujący dotrzymywanie słowa, prawdomówność, uczciwość i prostą drogę postępowania, siła w poczuciu swej mocy, biorąca w obronę słabszych i ucisnionych. Wola służby, niesionej braciom w każdej chwili życia, od spraw codziennych, aż ku służbie dla Ojczyzny, na zew bojowy zrywająca się czujnie. Samodzielność w pracy i umiejętność radzenia sobie w każdym środowisku, bez oczekiwania na cudzą pomoc. Ukochanie przyrody i rozszerzenie ram życia poza mury domów, na cały szeroki, piękny świat. Braterski stosunek do świata roślin, zwierząt, ptaków. Cała radość życia, zdobyta wybuchem stałe ćwiczonej woli, zająśniej w tym, kto potrafi ideologję harcerską wziąć

w duszę tak, by nią promieniować, jak ogniskiem wewnętrznego światła.

Harcerek mamy już w Polsce 16.000 — cyfra poważna! W r. 1927 żeńskich obozów harcerskich było 156, kursów — 17; uczestniczyło w nich 3.117 dziewcząt.

W r. b. mamy II ogólnopolski zlot — a więc rewję jeneralną, egzamin — dla wyciągnięcia wniosków na przyszłość, dla naprawienia braków, skorygowania metod, porównania wyników pracy drużyn. Zlot będzie obelany i przez delegacje zagraniczne — bardzo cenny objaw nawiązywanej przez naszą młodzież łączności z młodzieżą innych krajów.

Naogół biorąc, harcerstwo może pochłubić się znacznym rozwojem, któremu sprzyja życzliwy stosunek władz samorządowych, rządu i wojska. Niewątpliwie ruch harcerski wniesie nowe dodatnie wartości w życie społeczeństwa zarówno przez wyrobienie swych zastępów, jak przez akcję społeczną i kulturalną wśród ludu, z którym się bezpośrednio styka w okresie obozów letnich i wycieczek. Przechodzi jednak — jak każda praca wychowawcza — przez różne etapy, posiada różne braki, względnie niedociągnięcia, które musi przezwyciężyć.

Na zebraniu u p. Prezydentowej Mościckiej na Zamku, w dn. 18 czerwca, drużna Uklejska wygłosiła pewnego rodzaju apel do starszego społeczeństwa, by zainteresowało się bliżej pracą harcerstwa — wypowiedziało opinie! Jest to apel bardzo pożądaný, gdyż dotychczas młodzież raczej z niechęcią, ba! nawet z oburzeniem, odrzucała przestrogi, choćby od bar-



dzo życzliwych ludzi pochodzące. Społeczeństwo obserwuje i opinię swoją wypowiada; młodzież często odpiesza ją z irytacją: „Starsi chcą rządzić! Nie potrzeba nam mentorów!” I oto wzrósł mur zupełnie niepotrzebny, który trzeba usunąć. Rola to starszego harcerstwa. Z przykrością przytem trzeba stwierdzić, że więcej zarzutów spotyka harcerki, niż harcerzy.

Nasze dziewczęta powinny zwrócić większą uwagę na owo „rozwichrzenie“, które zarzucają ich koleżankom i na ową zarozumiałość, z jaką traktowane są matki, pragnące zbliżyć się do organizacji, która grupuje ich córki. Informacje udzielane są w sposób bynajmniej nie licujący z wymaganym od harcerstwa tonem. Ten ton jest tak grzeczno-chłodny, że zraża. Być może, nie jest to winą harcerek, jako takich, lecz tego ogólnego nastroju, jaki wytworzył się w społeczeństwie, tej nieumiejętności życzliwego współżycia ludzi z ludźmi. Należy jednak tępić go w samych sobie. Włosi stosują inną metodę. W stowarzyszeniach młodzieży, prowadzących akcję społeczną, obowiązuje nakaz: „z człowiekiem, przychodzącym do ciebie po informacje, radę, czy pomoc, rozmawiaj tak, by czuł w tobie żywą życzliwą duszę.“ Są to u nas jednak prawdopodobnie niedociągnięcia przejściowe, zależne od poziomu kultury jednostek. Główna kwatery żeńska w sprawozdaniu swem podkreśla: „Z elementem dziewcząt, z lokalnymi dążeniami, potrzebami i trudnościami musi się ruch harcerski liczyć.“ Ten element różnolity ująć w karby jest dość trudno tam, gdzie sam tryb życia odbiega od warunków domowych, gdzie sama praca mimowoli nadaje pewną „chłopakowatość“, rażącą przy niezachowaniu pewnych jej granic.

Ciekawe informacje daje sprawozdanie G. K. Ż., odnośnie rozwoju harcerstwa żeńskiego w poszczególnych dzielnicach:

„Życie chorągwi kresowych ma charakter trochę różny od pracy w stolicy, na Pomorzu, lub na Śląsku. Chorągwie na Kresach Wsch. mają element dziewcząt bardzo żywy, garnący się do harcerstwa z zapałem. Dziewczęta tamtejsze nie zrażają się, gdy drużyna zaczyna iść gorzej. Harcerstwo obejmuje tam przedewszystkiem młodzież gimnazjalną i seminaryjną, mniej wchodzi do szkół powszechnych. Aktualną i trudną sprawą będzie dla tych chorągwi zagadnienie drużyn mniejszościowych (litewskich i białoruskich.) Pomorze ma element prawy i solidny, lecz wykazujący mało inicjatywy i zdolności kierowniczych. To też—jak dotąd—znikoma jest ilość kierowniczek-

pomorzanek. Stolica ma do czynienia z materiałem bardzo specjalnym. Dziewczęta są znacznie mniej zapalne, niż kresowianki, często [krytyczne i mało impulsywne, nie wyrażające, jakoby, całości doznawanych uczuć. W stosunku do wartości, jakie im daje drużyna, są bardzo wymagające. Na Śląsku są warunki zupełnie specjalne i zadania ogromnie ważne, w związku z odradzaniem się tam polskości.“ Kraków, Lwów, Łódź, Mazowsze, Pomorze, Poznań, Śląsk, Warszawa, Wilno—stanowią przodujące siły. Kraków, Lwów, Poznań i Warszawa mają za sobą lata planowej pracy, obejmują szeroki zakres działalności, prowadzą planowo akcję kształcenia instruktorek, silną akcję obozową. Rozwija się tu ruch „zuchowy“ (drużyny dzieci); sprawy starszego harcerstwa są aktualne i w różny sposób rozwiązywane. W zakres działalności Komend wchodzi też: wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe. Największą inicjatywę w kierunku nowych pomysłów programowych, metodycznych i organizacyjnych, chęć prowadzenia pewnych doświadczeń, próby rozwiązania różnych kwestyj na własnym terenie, własnymi sposobami—wykazują przedewszystkiem Komendy chorągwi: Mazowieckiej, Warszawskiej, Poznańskiej i Wileńskiej.“ Po nich—Lubelska, Białostocka, Sosnowiecka i Wołyńska, którym duże trudności stwarza brak instruktorek.

Wydział zagraniczny harcerstwa żeńskiego ożywił polski ruch harcerski w ośrodkach emigracyjnych, utrzymując kontakt z 50 drużynami zagranicznymi przez wysyłanie instruktorek, urządzenie kursów, wysyłanie pism (1500 egzempl.) i książek (3000 tomów).

Na terenie międzynarodowym harcerstwo polskie uzyskało poważny sukces przez wybranie drużyny Małkowskiej do komitetu międzynarodowego podczas ostatniej konferencji w Bukareszcie. W roku zeszłym Wydział Międzyn. Głównej Komendy Żeńskiej wysłał 6 druzhen na obóz międzynarodowy do Szwajcarii, gdzie podczas 2-tygodniowego pobytu zdołały wzbudzić zainteresowanie polskim folklorem, urządzając żywe obrazy z „Jasełek“, wykonując polskie tańce i pieśni ludowe. Kilka druzhen z chorągwi krakowskiej spędziło też parę tygodni w Jugosławii, prowadząc tam pracę instruktorską wśród skautek. Nawiązano też przyjazne porozumienie z organizacją rumuńską.

Przeoglądając pisma naszego harcerstwa, widzi się wyraźną wolę postępu i orientowanie w brakach. Można zatem, mimo dotychczasowe niedociągnięcia, rokować, iż pożądane zmiany na lepsze nastąpią w miarę krepnięcia organizacji.

Z. Zaleska.



DR. HERMINJA NAGLEROWA

PSYCHIKA NIEWOLNIKA A... KODEKS HONOROWY

Jeżeli zabieram głos, zainspirowana artykułem p. dr. Świtalskiej-Fularskiej, czynię to nie dlatego, by przeciwstawić się słusznym jej wywodom i wynikającym z nich postulatom. Nie ulega już, bowiem, wątpliwości, że sprawa odpowiedzialności kobiety i jej „samodzielności honorowej“ musi ulec rewizji, podobnie, jak tyle innych przestarzałych form i pojęć.

Słowo „honor“, które po polsku znaczy—„zaszczyt“, urosło przez wieki do setek znaczeń, bardzo często nieuchwytnych, zależnych od okoliczności, obyczajowości, a nawet emocjonalności indywidualnej. Byłoby może najsluszniej, gdyby honor pokrywał się z etyką, ale i etyka ulega pewnym fluktuacjom, wynikającym ze zmian, przede wszystkim, społecznych. Jednak dziś każdy wie mniejwięcej, co jest poczucie honoru, choć trudniej już jest określić, jakie są granice „obrazy honoru“. Mężczyźni mają swoje sprawdziany, wprawdzie niezawsze logiczne, i oni też określili po swojemu „honor kobiety“, oświadczając rycerską gotowość stawiania w jego obronie.

I tu właśnie trzeba nam zabrać głos.

Po pierwsze: Honor kobiety, w rozumieniu mężczyzny, nie zawsze jest tym istotnym honorem—w naszym rozumieniu.

Powtóre: Zrównane dziś z mężczyzną w prawach i obowiązkach, pragniemy same załatwiać nasze sprawy honorowe.

Absurdalność ogromnej większości porachunków honorowych, wynikłych z naszego powodu, jest dostatecznie znana; sędzę jednak, że niema dziś tak głupiej, tępej i złej kobiety, któraby się pyszniła pojedynkami, stoczonemi o nią, czy z powodu niej. Jeżeli jednak, wbrew mojemu optymizmowi, takie kobiety jeszcze istnieją, należałoby je napiętnować i właśnie zdyskwalifikować honorowo tak, jak się piętnuje i dyskwalifikuje czyn bezmyślnego prowokatorstwa. Trzeba takie objawy moralnego zdziczenia bezwzględnie tępić, a nowy, do współczesnych warunków dostosowany, kodeks honorowy powinien właśnie zająć się tą sprawą. Ten nowy kodeks, który równomiernie będzie traktować honor kobiety i mężczyzny, musi bowiem pewne objawy życia zestawiać porównawczo. I tak powinno się prowokatorskie metody kokietki umieścić na tej samej płaszczyźnie, co lekkomyślność męskiej donżuanerji. Jedno i drugie wywołuje bowiem podobne konflikty i okazałoby się w rezultacie, że skoro dwaj sprowokowani rywale biją się o kobietę—dwie sprowokowane rywalki będą się bić o mężczyznę. Humorystyka faktu, tak powszechnego w dziejach pojedynku, wychodzi dopiero na jaw, gdy zmienimy role aktorów.

Domagając się dla kobiet odpowiedzialności za czyny i słowa, mamy zresztą na celu nietylko formę zewnętrzną. Nie jest to również tylko piękny gest, niejako wspaniałomyślność wobec naszych dotychczasowych obrońców. Stoimy tu wobec zagadnienia o wiele głębszego, bo dotyczącego wolności i swobody osobistej kobiet.

Może nie zdajemy sobie nawet sprawy, że swobodę naszych wystąpień krępuje podświadoma obawa, aby nie narazić naszych ojców, mężów, braci, narzeczonych, czy przyjaciół na ponoszenie za nas konsekwencji honorowych. Przemilczamy więc potulnie takie obrazy, które wśród mężczyzn rozstrzyga się przed sądem honorowym, lub nawet z bronią w rękę. Zaczem idzie, że mężczyzna, zwłaszcza ten, obrażający, musi sobie o naszym poczuciu honoru wyrobić swoisty sąd i wierzyć pozorom, świadczącym, że kobieta nie posiada honoru takiego, jak mężczyzna, ponieważ na obelgi nie reaguje, ponieważ nie żąda od swojego obrońcy, aby domagał się dla niej satysfakcji.

Nie mówię tu, narazie, o scysjach, które mogą powstać między kobietami (mam na myśli pracującą kobietę z inteligencji) na tle towarzyskiem, czy w obrębie pracy zawodowej, społecznej, politycznej, naukowej, artystycznej i t. d. Zdaje mi się, że w tych wypadkach prawie nigdy nie ofiarują mężczyźni swojej obrony. Nie znam przykładu, aby dwóch obrońców honoru dwóch kobiet, należących do wyżej wymienionych warstw społecznych i zawodów, rozstrzygało za te kobiety sprawy honorowe. Te kobiety, w braku własnych kodeksów honorowych, radzą sobie, jak mogą. Lecz nowy kodeks honorowy niewątpliwie pomyśli o tem, aby poddać tego rodzaju sprawy postępowaniu honorowemu, które będzie się kierowało zasadami równości, czyli będzie traktowało spory kobiet tak samo, jak z podobnych przyczyn powstałe konflikty honorowe mężczyzn.

Więcej interesuje mnie odpowiedzialność kobiety i umożliwienie jej samodzielnej obrony honoru wobec mężczyzny. Mężczyzna, bowiem, ośmielony potulnością i bezbronnością kobiety, zbyt często „nie liczy się ze słowami“, mówionemi wprost, lub „za oczyma“. Wie przecież, że to kobieta właśnie liczyć się będzie ze słowami, nie chcąc narazić swego opiekuna—męża, brata, czy swata—na honorowe zajście.

I tu właśnie nowy kodeks honorowy ma do spełnienia nadewszystko ważne zadanie. Odpowiedzialność i możność poszukiwania satysfakcji przez kobietę przeminaczy, bowiem, mylny sąd mężczyzny o honorze kobiety, zmusi go do pewnej powściągliwości słowa, do

opanowania butności, do zaniechania obraźliwych metod (których jest aż nazbyt wiele, gdy sobie uzmówimy różnorakie warunki współpracy, ustosunkowanie się przełożonych do podwładnych pracowniczek i t. p.). Odpowiedzialność i samoobrona swego honoru przeinaczy również psychikę kobiety, dając jej tę istotną wolność w stosunkach towarzyskich i zawodowych, oraz świadomość własnej, ludzkiej wartości.

Nie znaczy to, że z chwilą uzyskania tej wolności wewnętrznej kobieta będzie mogła poddać się nieobliczalnemu działaniu impulsu. Przeciwnie — kobieta, wiedząc, że odpowiedzialność nie znaczy przecież bezkarność, wykształci w sobie samodyscyplinę, rozwagę, takt i umiarkowanie. Będzie jednak mogła sama czuwać nad swoim honorem, nad swoją pozycją w gromadzie społecznej i nie pozwoli po sobie deptać bezkarnie.

Stanie się jeszcze więcej, bo znikną ostatnie szczątki niewolnictwa z psychiki kobiecej. Jej działanie będzie śmiałe, jej wystąpienia będą odważniejsze. Jej myśl nie będzie już knuła w cichości nigdy niespełnionych i dlatego wyobrazeniowo wyolbrzymionych odwetów. Zniknie również przewrażliwienie, które jest właściwie tylko szukaniem rekompensaty za dotkliwe obelgi, wymierzane jej ludzkiej godności, jej ludzkie-

mu honorowi, utrzymanemu pod kuratelą. Niewątpliwie sprawa odpowiedzialności i samoobrony honorowej kobiet i mężczyzn dotyczy tylko tej warstwy, która poddaje się zasadom kodeksów honorowych, uznając jego przepisy i umieszczając pewien kompleks spraw życiowych w ramach tego kodeksu.

Nie całe społeczeństwo interesuje się tym szczątkiem sądów stanowych z okresu feudalizmu. Od chwili, gdy niezależne sądownictwo i równe prawa sądowe dla wszystkich stały się zasadą konstytucyjną, istnieją przecież inne możliwości dochodzenia swoich krzywd także moralnych (zaliczamy do nich sprawy honorowe). Dopóki jednak istnieje ów zabytek średniowieczny, posługujący się sekundantami i pojedynkami, sądami honorowymi, protokołami, dyskwalifikacjami honorowymi i t. d., dopóki istnieje zwyczaj poddawania się wyrokom tych sądów rozjemczych, honorowych i — „sądów bożych“ — kobieta, należąca do tej warstwy, która uznaje kodeksy honorowe i według nich reguluje pojęcie honoru, musi domagać się dla siebie odpowiedzialności i samodzielności w kwestjach, dotyczących jej honoru.

Raz jeszcze powtarzam: Domagać się nie jako czczej formy, ale jako przynależnej jej wolności oraz swobody czynu i słowa.

M. H. SZPYRKÓWNA

O KOBIECIE MIĘDZYNARODOWEJ

Z dziejów powszechnego braterstwa

Nie mar, bynajmniej, na myśli czerwonej międzynarodówki, obalającej rządy i granice państw. Ale myślę, że dobrze jest w naszych czasach uprzytomnić sobie, że powstaje i musi powstać u nas jeszcze jeden, dotąd nie zgłoszony niejako przez konieczność, typ kobiety i działaczki społecznej. Mianowicie — kobieta-reprezentantka.

Powojenna Europa, ba! — powojenna ziemia wogóle zarośla się nagle od pewnego typu kosmopolitycznych zbliżeń. Wojna, jak wszelkie zło, ma i swoje strony dodatnie. Dopóki są zalane krwią i poszarpane przez odłamki szrapnelów — nie dadzą się widzieć. Ale przemija nawałnica mordu i zniszczenia; śmierć, idąca ogniem i mieczem poprzez narody, cofa się gdzieś w zacisze swojej piekielnej rekwizytorni — i życie powraca do norm. Dawno zaś już dało się spostrzec, że przedwojenne normy, jak przedwojenne ceny, nigdy nie wracają do poprzednich ram. Straszliwa abrakadabra wojenna zostawia na poboju jakgdyby szereg rozsypanych głosek, jak zburzoną łamigłówkę dziecinną, z której życie układa potem zupełnie inne już wyrazy, czy obrazy.

Jednym z nowych wyrazów powojennych jest u nas w Polsce ta przedstawicielka międzynarodowa.

Trudno się wgłębiać, jakie motywy polityczne kierują zacieśnieniem węzłów między narodami? Mogą one być istotne, lub tylko wywołane potrzebą dyplomatycznych posunięć. Ale pod tym prądem powierzchniowym niewątpliwie istnieje drugi, nieurzędowy, jeśli się tak wyrazić można, wychodzący z nieporównanie głębszych źródeł. Jest to poczucie braterstwa, wywołane poczuciem wspólnej niedoli. Liga narodów jest tego przedstawicielstwem niejako formalnym: wojna przynosi narodom nieobliczalne straty i ruinę, wojna narusza równowagę polityczną i ekonomiczną jednych państw, w przeciwstawieniu do wzmocnienia i upotężnienia innych, wojna jest z tego powodu niebezpieczeństwem, grożącym każdemu z państw poszczególnie, ergo: poszczególne państwa muszą niejako zawczasu ująć w ręce cugle możliwości wojennych, aby je odpowiednio powściągnąć, a może — odpowiednio pokierować.

Ale drugi motyw wypływa z daleko głębszych, w daleko bardziej nieprzemijalnych wartości. Wypływa z poczucia wspólnoty u samych narodów, nie licząc się z motywami politycznymi, a często idąc wbrew nim. Jest to wspólnota wszechludzka w najszerszym tego słowa znaczeniu, która każe pewnym

grupom Anglii, wojującej z Irlandją, czy hindusami, głęboko sympatyzować z irlandczykami, czy Indjami. A która nie może sprawić, mimo usilnych starań rządu o pozory przyjaźni, aby ta przyjaźń istotnie nawiązała się samorzutnym odruchem w społeczeństwie pomiędzy, powiedzmy, pewnymi narodami słowiańskimi, a teutońskimi, a nawet pomiędzy bratnimi narodami samychże słowian, skoro któryś z nich został zatruty obcym dla siebie pierwiastkiem rozkładowym zzewnątrz. Sympatje się nie łączą — i kroki dyplomatyczne pozostają zawsze tylko formą enuncjacji rządowej, zupełnie niezwiązanej z życiem organizmu narodowego.

U tych zaś społeczeństw, których zbliżeniu wewnętrznemu nic na przeszkodzie nie stoi, zaczął się po wojnie gorączkowy ruch, na tle dążeń do wspólnego porozumienia. Ruch, wspaniale się rozwijający, i niewątpliwie niemniej efektywny — jeżeli nie więcej!... niż sama Liga Narodów. Tamta, przeciwnie — powinna się nazywać Ligą rządów. Ligą narodów, prawdziwie narodów — będzie zawsze to, co wyniknie samorzutnie z inicjatywy społecznej, artystycznej, ewangelicznej nawet — ale nie politycznej.

I oto powojenna ludzkość gorączkowo zajęła się po przeminieciu wojny tworzeniem małych lig. Tworzą się przy wielkiej, tworzą się i osobno. Narody niejako przełamały impetem armat mury, oddzielające je jeden od drugiego, aby potem tą wolną już drogą, tym wyłomem w murze wrogości, zacząć przepływać nawzajem przez siebie nieznane dotąd tereny etnograficzne i duchowe. Dzisiejsza karta Europy, a nawet świata — to kolejna, w innych tylko warunkach odbywająca się, wielka wędrówka Narodów, które potęgi kosmiczne co czas jakiś rzucają ku sobie, aby przypomnieć, że jednak są jednością, autonomicznie podzieloną na komórki państwowe, i że ich celem ostatnim jest jednak współdziałanie dla wspólnego rozwoju ludzkości.

I oto zaczyna wychodzić na jaw rzecz pewna, że kobiety w tej dziedzinie grają rolę ogromną, nie do pominięcia, z chwilą, kiedy są posłankami i senatorkami, reprezentantkami związków o wielotysięcznej sile głosu i działaczkami miejskich organizacji społecznych. Pokazuje się, że taka kobieta nagle musiała urosnąć w Polsce od chwili naszego upaństwowienia, urosnąć, będąc już zapewne dojrzałą, nauczyć się stosu nowych nauk, naumieć się masy nowych umiejętności — i pojechać na kongresy, zjazdy, na zloty — reprezentować Polskę. Cóż to znaczy? Znaczy to, że musiała wiedzieć matematycznie ściśle, jak skondensować maximum wiadomości, zapotrzebowań lub informacji polskich, koniecznych dla jaknajlepszego wywalczenia dla Polski miejsca, należnego jej kulturalnie i duchowo w gronie innych państw, a osiągu faktycznego — z drugiej strony. Trzeba, w udzielone sobie dziesięć, pięć czy dwadzieścia pięć — rzadko!... minut, umieć streścić wszystkie nasze prawa i potrzeby tak, aby nie roz-

topić się w łzach i rozrzewnieniu patriotycznym, choćby tego serce było pełne, tylko przedstawić dane ściśle, ostre, niezbite, tnące, jak lancet, i oświetlające ogrom przestrzeni i czasu, jak błyskawica w chmurze. Trzeba się umieć nie zgubić w samych ścisłych i oschłych danych statystycznych, jakkolwiekby ich myśl operowała niemi z największą ścisłością, tylko natchnąć ich wykładnię tem nieuchwytnym powietrzem entuzjazu swojej sprawy, którego zawsze są głodne płuca zasuszonej biurokryzmem współczesności.

Trzeba umieć połączyć i polot, i dokładność, i umiejętność uprzejmego, naprawdę dyplomatycznego obcowania w międzynarodowym towarzystwie, zawsze nieco zazdrosnem o swoje przywileje. Musi być w tem i znajomość języków obcych, tak, ażeby potykanie się o wyrazy nie zaciemniło treści mowy, i znajomość form towarzyskich, aż nadto często u nas rażąco-niedostateczna, nawet przy najlepszych, najszlachetniejszych atutach ducha, czy umysłu. Musi być także i świadomość swoich praw w rodzinie narodów, możliwa tylko na podstawie doskonałej znajomości dziejów historycznych, polityki międzynarodowej i walk ekonomicznych i społecznych między państwami. Są to rzeczy konieczne. Czy do tego doda się jeszcze ten szczęśliwy dar z nieba, który tworzy rodzaj fachowego geniusza w swoim zakresie — czy będzie to społecznictwo, czy parlamentaryzm, czy pedagogja, czy sztuka? Jest to już sprawa przypadku i szczęścia, czasem — olbrzymich wysiłków, ściągających ogień z nieba! Ale w każdym razie, kolosalne przygotowanie czeka kobietę, którą losy wysunęły na forum międzynarodowe w roli tak niesłychanie doniosłej życiowo i tak zaszczytnej moralnie, jak reprezentacja Polski na forum międzypaństwowem!

Otóż osobiście mam tu do zrobienia pewien — jeśliby tak rzec można — zarzut naszym reprezentantom. Za mało o nich wiemy! Za mało nam mówią o tem, co, jak i kiedy działy w tem dalekiem centrum, gdzie się ogniskują promienie międzynarodowych porozumień. Za bardzo wyodrębniły się z ogółu pozostałych kobiet, z których wiele przecież gorąco się temi sprawami interesuje, i pokierowałyby się inaczej w swoim wykształceniu i zainteresowaniach, gdyby miały stały, bliski, żywy kontakt z tem, co robią za granicą nasze przedstawicielki, jakie wygrywają atuty i jakie... popełniają błędy, ażeby ich uniknąć mogły następczyni. Żeby, poprostu, uczyły nas prostemi, zwykłemi słowami, jakto tam trzeba, coto tam trzeba, jak jest u innych, i które narody trzeba przyjąć za wzór.

Niech nasze organizacje kobiece pomyślą może o wprowadzeniu prelekcyj na szerszą skalę z działalności naszych zagranicznych kobiet, dla działaczek — albo i profanek zresztą!.. — krajowych. Są to jakby nasze najzdolniejsze siostry naszej wielkiej kobiecej rodziny, wysłane wspólnym nakładem w świat. Niechże i my coś mamy z szerokiego zawiewu ogólnoludzkich prac!

ANNA SŁONCZYŃSKA.

NIEBIESKI GOŚĆ

(Fragmety z poematu o Chrystusie.)

...Jednak czasem twarz Jego: Ta Twarz zawsze biała,
umiała spłonąć gniewu różem czy purpurą!
Jednak oczy: Te Oczy, w których światłość drżała,
umiały cisnąć gromy, jakby były chmurą!

Jednak usta: Te Usta — od ust kwiatu cichsze —
umiały strzelić słowem kąśliwszem od żmii!

Jednak głowa: Ta Głowa, spokojna w mąk wicherze,
umiała skrzywić wstrząsem smukłe linje szyi!

Jednak ręce: Te Ręce, niosące kochanie,
umiały — zbrojne w pięści — grozić świętyń stropom!!!

...Było to wtedy, Kiedy Świętości Szarganie
Ujrzał — Na Łup Wydanej Niegodziwym Stopom.

* * *

Kiedy Mu — jako temat — podsuwano z lękiem
te krążki metalowe, co od lat najstarszych
migocą zimnym blaskiem, dzwonią zimnym dźwiękiem:
Pieniądze Z Wizerunkiem Profilów Monarszych—

to nie chcąc ich potępiać, ani ich rozgrzeszać,
bo tkwi w nich Groski Ziemskiej Symbol Najprawdziwszy,
z którą nie mógł Niebieskiej Misji Swojej mieszać —
odsuwał je i — głowę zlekka odwróciwszy—

mawiał szybko: „Oddajcie Wy To Cesarzowi“.
Jakby myślał, że pełnem znaczenia wielkiego
zdaniem owem — świat cały ostro przepołowi
Na To, Co Na Nim Jego Jest i Co Nie Jego.

* * *

A gdy Faryzeuszom krzyknął swoje: „BIADA!“,
to ziemia im się trzęsła u stóp z obrzydzeniem —
to nad nimi czerniała nieba modrość blada —
to słońce wypalało im oczy płomieniem—

to uciekały od nich chłód niosące mroki —
to deszcze w twarz ich siekły różgami ze stali —
to syczały nad nimi spłonione obłoki, —
to wiatr giął ich, aż idąc — w drodze się ślaniali!!!

* * *

O! jak są przeraźliwe Słowa Jego W Gniewie:

podobne gorącemu deszczowi z płomieni...
podobne zimnych gładów kamiennej ulewie...
podobne cwałującym wichurom jesieni...

podobne biczom morza, chłuszczącym pierś lądu...
podobne burzy trzaskom, co się z pasji wściekła...
podobne dzwonom lęku, dzwoniącym w Dzień Sądu...
podobne Zamykaniu Na Wieki Wrót Piekła!!!



BRONISŁAWA OSTROWSKA

W STAREM LUSTRZE

BABCIA DAMIANIOWA

W Wielką Sobotę, po ukończeniu uroczystości strojenia Święconego, wyruszało się jeszcze ostatni raz na groby. Wyjeżdżało się z Pragi otwartym konnym tramwaikiem i, jadąc przez drżący most nad wezbraną i mętą od wiosennej powodzi Wisłą, wdychało się całym gardłem wiatr jutrzejszego Zmartwychwstania. Na placu Zygmunta, skąpanym w słońcu, wysiadało się z tramwaju, aby pograć się bezpośrednio w chłodny cień pierwszego z kolei kościoła. Uroczysta cisza drgała śpiewem ptaków, zawieszonych w niewidzialnej klatce nad grobem. Promienista monstrancja w białym tiulu, na tle czarnych cyprysów i palm, olśniewała zaskoczone oczy.

Pachniały hiacynty, i blade Chrystus leżał czekający w malowanej grocie. Radosny jest grób wielkosobotni, kiedy się wie, że nazajutrz nieodwołalnie, czerwonym numerkiem naznaczona w kalendarzu, nastąpi wielka noc i wielki dzień Zmartwychwstania. To też z uczuciem cichej, lecz pewnej radości przystępowało się do nakrytych dywanem stolików ze srebrną tacą i płonącymi świecznikami, by wzamian za położony z uprzejmym dygiem pieniążek otrzymać od pięknych, urękawiczonych pań mały, święty obrazek na pamiątkę grobów. I z kolekcją, rosnącą w każdym odwiedzionym kościele, docierało się wreszcie aż na Nowe Miasto, gdzie zazwyczaj kończyła się pobożna wędrówka odwiedzinami w schronisku u babci Damianiowej. Dzwoniło się do małego domku, którego drzwi otwierały się gościnnie i zamykały natychmiast, wpuściwszy nas do bielonego wnętrza, ciepło pachnącego świeżo umytem drzewem i pieczonym ciastem. Skrzypiały wąskie schody i uchylały się na kurytarz kolejno mijane drzwi, z za których wyglądały siwe głowy w białych i czarnych czepcach. Wkońcu wchodziło się do niewielkiego pokoju, gdzie na fotelu przed oknem siedziała babcia Damianiowa. Na tle czysto bielonych ścian i białych firanek fotel jej, wysłany poduszkami, haftowanymi na kanwie w czerwone róże, czerwony pod nogami dywanik i czerwone pelargonje w oknie — tworzyły ostrą ramę dla jej skurczonej postaci. Pulchne, białe ręce na czarnej sukni, zwiędła twarz, blade, zachodzące bielmem oczy, i krucze, ciężkie włosy, owinięte wielkim warokoczem wokoło głowy. Hebanowe kule z czarnym aksamitem stały oparte o fotel. I tu śpiewały kanarki, a nad łóżkiem wisiał obraz złożenia Chrystusa do grobu i biały tiul z pomarańczowym wieńcem w szklanej ramie. Było prawie jak tam, w zwiedzanych przed chwilą kościołach, tylko o wiele smutniej. Bo

tu jutrzejsza wielka noc Zmartwychwstania będzie tylko zwyczajnym świętem Wielkiejnocy. I nie odmieni nic.

Późniejszą wiosną babcia Damianiowa przyjeżdżała na kilkotygodniowy pobyt do naszego domu. Dostawała pokój z gankiem na ogród i czerwony jej fotel stał najczęściej pod kwitnącymi oleandrami, lub przed starą tualetą z owalnym, zielonkawym lustrem. Przybiegało się tam co chwila z kawałkami papieru, z którego babcia wystrzygała rzeczy przedziwne, będące arcydziełem misterności, a nieznaczące nic i niepodobne do żadnego z istniejących kształtów. Albo po opowieści zdarzeń z życia ludzi obcych, w dalekim i nieznanym kraju, równie bezużyteczne i niepokojące, jak fantastyczne przezrocza papierowych jej wystrzyganek.

Tego dnia w pokoju babci Damianiowej stał olbrzymi pęk białych lilij, duszących mocnym, jak kadzidło, zapachem. Przyniosła je rano matka z poukrywanymi w kielichach wielkimi chrabąszczami z czekolady, które mi straszyla, każąc wachać kwiaty. Pomieszanie zapachów oraz nieruchomość chrabąszczy ostrzegły mnie wczas o podstępnie; lecz mimo to żadna siła nie zdołała mnie zmusić do zjedzenia czekoladowych owadów. I cały dzień zostało mi potem coś — niby lekki niesmak, nuda wlokących się zapachów, pomylenie nieuchwytnych wrażeń.

Dzień był gorący i duszny; zbierało się na pierwszą w tym roku burzę. Wieczorem rodzice wyszli z domu, więc zaszłam na pociechę przed nocą do pokoju babci Damianiowej. Wcisnęłam się w róg kanapki, czekając opowieści.

Drzwi od balkonu były otwarte, ale ani jeden listek nie ruszał się na drzewach. Było bardzo czarno i duszno. Pachniały ciągle lilje, wystawione na noc za okno.

Przed lustrem paliły się dwie świece, zwabiając z ogrodu lecące ćmy. Wpadały one w płomień, który chybotął się i wydłużał, odbijając w zielonej głębi lustra smugi drgających cieni. Odbita głębia pokoju była tajemnicza i nieodgadła, jak dno ruchomej wody.

Babcia Damianiowa siedziała przed tualetą i swymi biednymi oczami, zachodzącymi zwolna bielmem katarakty, patrzyła w tę rozkołysaną głębia. I nagle zaczęła opowiadać:

— Moje dziecko! Dziwne rzeczy są w lustrze. Twoja ciotka, a nawet twoja imienniczka, której jednak nie znałaś, bo zmarła przed twym urodzeniem, w wigilję

świętego Andrzeja wróżyła sobie z lustra. Siadła przed tą tualetą, tak jak ja teraz, zapaliła dwie świece po bokach i czekała, aż zobaczy w lustrze twarz swego przyszłego męża. I nagle w głębi lustra zaroilo się od świec, a w świecach stał katafalk z otwartą trumną, w której zobaczyła siebie samą w stroju ślubnym. A przed katafalkiem stał mężczyzna z twarzą ukrytą w dłoniach...

— I co się stało, babciu?!

— A cóż, zemdląca biedaczka. Ale potem pozwoli zapomnieć. I zaręczyła się w karnawale na balu i już naznaczono ślub. Aż wracając z zabawy saniami, w zawieruchę, zaziębiła się — i jeszcze przed nowym świętym Andrzejem leżała w ślubnym stroju na katafalku pomiędzy świecami, a narzeczony pewnie stał przed katafalkiem z twarzą w rękach ukrytą i płakał.

— Naprawdę, babciu? Tak było? To przecież strasznie smutne! I umarła naprawdę?!

— Umarła. Ale to nie jest smutne. Nie to jest smutne na świecie. Nie to...

Zrobiło się zupełnie cicho. Babcia Damianiowa umilkła i białymi palcami zaczęła wyciągać z czarnych warkoczy długie, cienkie szpilki. Powolnym, zamysło-

nym ruchem rąk rozplatała warkocze, odbijające od jej zwiędłej twarzy swym szafirowym prawie połyskiem. Były tak wielkie, że, rozplecione, nakryły ją całą, jak płaszcz, zwisający przez poręcz fotelu prawie że do samej podłogi. Potem wzięła grzebień i zaczęła wodzić nim po tej fali kruczej i niespokojnej.

Nagle uśmiechnęła się. Zdmuchnęła szybko świece i pociemku zaczęła się gwałtownie czesać. Z pod zębów grzebienia rozlegał się cichy, ciągły szmer, i zobaczyłam małe, błękitne iskry, zlatujące w ciemności z jej włosów. Iskierki błyskały i gasły z lekkim trzaskiem, a babcia Damianiowa czesała się wciąż przed bujającym się w ciemności bladym owalem lustra, śmiejąc się cichutko i jakgdyby nieprzytomnie.

Zrobiło mi się nagle nie do wytrzymania straszno. Chciałam się zerwać i uciec, ale nie miałam odwagi wstać. Zabrakło mi nawet siły na krzyk. Kurczyłam się, zdrętwiała, w kąci mojej kanapy, gdy nagle pokój rozświetlił się cały błękitną błyskawicą, zaszamotały się drzwi od ogrodu i runął pierwszy, ogłuszający grom.

Zaszumiała ulewa po liściach. O jakże dobrze było móc przeleknąć się burzy!



ZOFJA SIKORSKA

PANNA ADA

(z cyklu „POBYT NA PROWINCJI”)

Kiedy się patrzy z wysokiego kopca na miasteczko, widzi się głęboką misę o zielonych, seledynowych, modrych i szafirowych wrębach, wyłożonych na dnie siecią białych zabaweczek. Im bliżej do środka, tem domki bardziej skupione, im dalej — tem więcej rozproszone, rozrzucone to tu, to tam. Niektóre z nich łączą się zgodnie i wyrastają długą linią. Inne nieposłusznie oddzielają się od gromady i, coraz rzadsze, coraz samotniejsze, pełzną ku krawędziom doliny.

Jedno z takich buntowniczych domostw zamieszkiwała panna Ada.

Właściwie nie było to zwykłe domostwo, tylko, co się zowie, willa, otoczona białą, żelazną kratą. Stała przy zwykłej, wiejskiej drodze. Kto szedł drogą, przystawał i patrzył przez kratkę w ogród.

Ja też tak stałam raz jesienią, bo mnie oczarowały płomykowe „lampki japońskie” i pastelowe astry, kwitnące wśród rozległych trawników. Była już późna jesień, więc wszystko, co mogło jeszcze kwit-

nąć, kwitło gorączkowo, śpiesznie, z wysileniem, byle raz w życiu! Ogród stał, jak zaczarowany.

Wtedy zainteresowałam się panną Adą.

Uczyła rysunków w kilku szkołach, a pozatem miała jeszcze mnóstwo lekcji prywatnych.

Co rano zrywała się o piątej i odprawiała obrządki mycia: w zimie — zapomocą śniegu, w lecie — przy współudziale własnoręcznie naczepanej z przepaścistej studni, zimnej, jak lód, wody. Chód miała męski, szeroki, pełen energii. Wszystko umiała zrobić. Że modelowała z gliny artystyczne drobiażdżki, że potrafiła dać książce mocną i piękną oprawę z płótna lub skóry, że liworyzowała i znała najsubtelniejsze rodzaje batikowania, że haftowała jedwabiem precudne „martwe natury”, że rzeźbiła laski i kałamarze — w tem nie było nic dziwnego: to wchodziło niejako w zakres jej specjalności.

Ale ona potrafiła zrobić nowy kluczyk, obciągnąć obręczami rozsypującą się beczkę, lutować szczerbate

rondle. Była nieoceniona, gdy chodziło o mocne, prawdziwie męskie osznurowanie toboła z pościelą.

Raz przebrała się w bryczesy, w starą kurcinę, w czapkę z potężnym dachem i, wlaższy na drabinę, jeła się malowania werandy. Nie potrzebuję dodawać, że z pędzlem w dłoni wyglądała, jak najpiękniejszy urwipoleć z rodu malarzy pokojowych. Za takiego osądził ją żołnierz z pobliskich koszar i poprosił o wymalowanie, w sekrecie przed „państwem“, kufierka tą piękną, brązową farbą. Oczywiście, spełniła to, a w nagrodę mogła dostać papierosa i kromkę chleba. Oprócz wspaniałej umiejętności radzenia sobie własnymi dziesięcioma palcami w takiej sytuacji, w której kobieta woła pomocy brata, ojca, kolegi, służącej, a przytem w takiej, w której przeciętny mężczyzna wzywa szklarza, ślusarza, kowala—panna Ada ma jeszcze talent. Właściwie, jest on ukryty. Tkwi w niej niejako in potentio. Jeżeli chcesz go ujrzeć, musisz zajrzeć do wielkiej, okutej skrzyni. Stoi ona na poddaszu i dotrzeć do niej bardzo trudno, bo klucze nosi panna Ada przy sobie, w kieszonce swej skautowskiej bluzy.

Raz otworzyła mi skrzynię. Całe poddasze pachniało wtedy sianem i gorącem. W tej specjalnej atmosferze zobaczyłam tajemnicę jej talentu. Były tam akty męskie i kobiece, fantastyczne stylizacje kwiatowe, jakieś kompozycje, pomysły na porcelanę, na dywany, poetyczne ilustracje do powieści i bajek. Sypały się bez końca rulony płótna i papieru, drobne zwitki, szkiecowniki, teczki. To wszystko powstało dawno, w czasie studjów.

— Pani zamknęła na klucz swój talent!—powiedziałam.

Ale wkrótce przekonałam się, że nie miałam racji.

Twórczość—to nietylko realizowanie piękna, wydobyciego z własnej duszy. To również pierwiastek piękna, zbudzonego przez nas w kimś innym. Spójrzmy na pannę Adę w szkole. Jak się schyla nad ławką. Oczom niewidzącym ukazuje wiekuiste piękno. Uczy poznawać je i wyróżniać. Uczy z niem obcować. Co za radość zapala się w oczach apatycznej, niezdolnej dziewczynki, gdy panna Ada zbudzi w niej iskierkę wrażliwości!

Stosunek z dziewczynkami jest czarujący. Poza klasą panna Ada mówi im „pani“ i traktuje po koleżeńsku. Inni mają jej to za złe. Ale pannie Adzie wszystko się udaje. Uczennice mogą mieć przelotną sympatię, lub niechęć do tej lub owej nauczycielki—do panny Ady mają niezmiennie, stałe zaufanie. Jej zwierzają się z ważnych i skomplikowanych spraw. Ona wie o niespodziankach, szykowanych nauczycielkom, i o głuchych sporach między uczennicami. Jej powierzają opinie o wszystkich i na nią czekają niecierpliwie na torze saneczkowym.

Oto idzie swym ekscentrycznym krokiem, przyodziana w skórzaną kurtkę i czapkę-automobilówkę. Czasem zmieni ten strój na szary uniform skautowy ze srebrną odznaką hufcowej. Wówczas nałoży na głowę kapelusz, spięty pod brodą, i wygląda wtedy, jak młody cowboy.

Czy się ubierze tak, czy inaczej, poznasz ją zawsze. Poznasz ją po tem, że w kościele ustąpi ci miejsca. Że na wycieczce poniesie twój płaszcz. Że ucieszysz się szczerze i impulsywnie, jeżeli ładnie wyglądasz.

Bo kobiecego egoizmu niema w pannie Adzie.

PAULA LAMOWA

KOBIETA W EPOCE ODRODZENIA

Jeśli w portretach pań wysokiego rodu odzwierciedliła się świetność renesansowego malarstwa, które rozporządzało wtedy największem bogactwem i śmiałością barw — to w zbiorowej wystawie stroje dam włoskich były przepysznym i niezrównanym w smaku ornamentem kraju, szczególnie podczas wielkich uroczystości i przyjęcia obcych monarchów. W Wenecji, na spotkanie syna króla polskiego, Władysława Jagielly, wyszło przeszło sto pań szlacheckiego pochodzenia, ubranych w złote suknie z jedwabiu i aksamitu, strojne w kosztowne galony, bezcenne naszyjniki i perłowe kolje, które olśniewały bogactwem rodowych skarbów i mieniły się tysiącem błyskotliwych odcieni. Do najwytworniejszych strojów należały suknie wyprawne Bony Sforzy; druchny na jej ślubie ubrane były w suk-

nie jedwabne, haftowane w złote drzewa daktylowe, berety z haftem tego samego wzoru i narzutki z karmazynowego aksamitu, gdy kobiety zamężne nosiły suknie z purpurowego aksamitu, z ciężkiego brokatu, mory, z jedwabiu, strojnego w aksamitne aplikacje — stroje haftowane złotem i srebrem, w drzewa, owoce i kwiaty, lub malowane w egzotyczne ptaki, wedle medjolańskiej mody — aby orszakowi ślubnemu nadać przepych i wspaniałość, którą się w owych czasach, tylko możliwe domy Italji, o nieprześcignionem bogactwie klejnotów dziedzicznych, poszczycić mogły.

Panna młoda miała suknię z turkusowego jedwabiu, haftowaną w złote pszczoły, i takież beret, brokatowe pantofelki z perłami i złotem — strój, ogólnej wartości 7 tysięcy dukatów. Było to 6-go grudnia



Dziewczyna z owocami — Lavinia, córka Tycjana.

1517 r. Za świeżo poślubioną królową polską podążały w kierunku dalekiej Północy skrzynie, wypełnione po brzegi strojami z medjolańskich jedwabów i weneckich koronek, turyńską bielizną i florenckimi haftami, księżęciami kosztownościami i ulubionymi książkami z wielu zalet słynącej niewiasty — wszystko to jako magnacki posąg Bony, księżniczki Sforza, która na Wawelu paniom polskim i litewskim długo przyświecała wiedzą swoją i wielką kulturą. Ślub Bony Sforza na wyspie Jochia należał do najwspanialszych w Italji; dlatego trudno było włoskiej księżniczce pogodzić się z myślą, że opuszcza swoją słoneczną i bogatą ojczyznę. Przyjaciołom, którzy odprowadzali królowę do Apulji i opuścili dopiero na okręcie w Fiume, obiecała, że wróci rychło do Italji; wróciła istotnie, ale, aby umrzeć, jakgdyby ziemia Jagiellonów nie chciała przyjąć jej zwłok, które pochowano w katedrze Bari.

Uroda kobiety i jej pysznego stroju zdobyła panowanie w każdej dziedzinie. Nietylko literatura i malarstwo nazywa ją swoim natchnieniem, ale nawet Machiavelli w swojej „La Célestine” nie może oprzeć się urokowi niewiasty, gdy Kardynał Bembo, pisząc o kobiecie, mówi, że uroda jej jest łaską od Boga, a brzydota — karą i nędzą życia. Katarzyna Sforza w swoim „Eksperimenti” podaje przepisy podwyższania i zachowania urody, a słynna kurtyzana, Tullia d’Ara-

gona, podnosi wartość haftowanych pończoch jedwabnych i cienkiej bielizny.

Jednakże moda, która w epoce Odrodzenia dominuje smakiem w doborze barw i draperji, w drugiej połowie XVI w. zatracą estetykę i harmonję linii, oraz indywidualność stroju i wpada w barokową przesadę. Uczesanie w loki, warkocze lub włosy gładko przyczesane i przeplatane klejnotami, pozostaje niezmiennione; jedynie suknie przybierają kształt beczek od wina, przyczem, przeładowane inkrustacjami i haftem, tworzą styl śmieszny, niezgodny nietylko z estetycznym smakiem, ale i ze zdrowym rozsądkiem. W okresie powodzenia pełnych kształtów i dobrze zbudowanych kobiet, podziw wzbudzała równocześnie obfitość stroju, którego rzecznikiem w malarstwie jest Andrea del Sarto. Jego bohaterki noszą olbrzymie suknie z karmazynowej tafty, podszyte jedwabiem zielonym. Wycięcie kwadratowe, zdobne w galony z czarnego aksamitu, odsłania rąbek haftowanej koszuli. Na głowę narzucony szal z niebieskiej gazy, na szyi złota opaska. Zczasem zwyczajna bordiura wokół wycięcia zamienia się w kołnierz plisowany, haftowany, lub wycięty w zęby, który dochodzi do kolosalnych rozmiarów i staje się przedmiotem największego zbytku. Modę tę nadaje dwór Henryka III de Valois we Francji; u weneczanek kołnierze te, noszone jeszcze przez Katarzynę de Medici, wychodziły już z talji, rozwijały się w formie wachlarza, sięgającego wysoko ponad karkiem, i tworzyły nieraz wspaniałe tło dla sukni nieprzesadnie szerokiej, o normalnych rękawach. Suknia składała się z dwóch części: z wierzchniej „gamurra”, w rodzaju antycznej tuniki, sięgającej do kolan, lub najwyżej do kostki, uszytej z lżejszego jedwabiu — i spodniej „settana”, z aksamitu lub brokatu, zakończonej długim trenem, gdy rękawy wzdymały się do wielkości balonów, albo zachowywały wąską linję i epolety. Jednakże ani bezkształtne suknie, ani olbrzymie kołnierze, ani nawet monsturalne rękawy nie należały do przewrotnych efektów mody XVI w. Moda Odrodzenia wprowadziła uczesanie skromne, choć strojne w klejnoty i zakończone upiętym na tyle głowy welonem, z gazy, przetykanej złotem, spadającym do ziemi, lub też zwieszonym na piersi i spiętym kosztowną agrafą; tymczasem moda baroka, obrawszy sobie siedzibę w Wenecji, karykaturę stroju związała nazawsze z nazwą tego miasta i jego niewiastą.

A więc uczesania były w kształcie piramid, kółek, gniazd ptasich, kopuł i innych rzeczy, nieprzy stojnych na głowie, które, mimo wszystko, nadały tradycję malarstwu tej epoki. Ale jeśli kiedykolwiek obcas trzewika niewieściego odzwierciedlał wartość społeczną danego narodu, jeśli w lekkomyślnej epoce rokoka obcas pantofelka, osiągnąwszy za panowania Ludwika XIV rekordową wysokość, w miarę zbliżania się do Rewolucji zaczął się znacznie obniżać, jakby w przeczuciu mody ofiarnego sandała — to za czasów

baroka obcas i podeszwa trzewiczka wenejanki były niewątpliwie najwyraźniejszym wskaźnikiem niedorzeczności tego stylu. Pantofelek, o wysokim obcasie i tej samej wysokości podeszwie, sprawiał wrażenie szczudła, o problematycznej, rzecz jasna, możliwości chodzenia i swobodnych ruchów. Napróżno pisano satyry o wenejance, która w kościele uklęknąć nie może, ani czterech kroków uczynić sama jest niezdolna, zawsze zależna od damy, która ją prowadzi, i drugiej, co tren sukni barokowej niesie: kto hołdował modzie, nie dał się odstraszyć ani nawoływaniom duchownych, ani zakazom rządu, ani też zjadliwej satyrze.

Z olbrzymich kołnierzy i obfitych draperyj stroju, z poza wachlarza ze strusich piór, o rączkach misternie inkrustowanych z emalii i złota, wylania się subtelna twarzyczka weneckiej damy i tych pań, które posłusznie ją naśladowały. Tymczasem inne miasta wprowadzały inowacje do szczegółów mody. W drugiej połowie XVI w. wchodzi w modę florentyńskie kapelusze słomkowe, w Genui ozdobione piórami strusimi i kosztownymi agrafami. W Siennie noszono kapelusze okrągłe, aksamitne, w rodzaju amazonek, aby je łatwiej było zdejmować w kościele podczas podniesienia. W przeciwstawieniu do znakomitej damy, kurtyzany rzymskie—Bellina, Bernardina i Ginevra—ubierają się po męsku i za modę tę pokutują w więzieniu lub smagane różgami. Niezrażona tem, córka Tintoretta—Marietta—nosi strój pazia. Mimo wszystko, moda włoska traci z wolna swą oryginalność. Panie w Genui noszą polskie kontusiki z wylotami, fryzury tureckie, szale indyjskie, kryzy hiszpańskie, ale już w przededniu rokoka przeważa moda francuska. Jeszcze zachowano berety i turbany włoskie, ale już portrety Lukrecji Colonna, Van Dycka i Księżny Rospigliosi, pendzla Maratty, wzorują się na modzie francuskiej. Z Francji przychodzi moda nagich ramion i głębokich dekoltoń. Papież Inocenty XI każe skonfiskować w sklepach wszystkie koszule zbyt wycięte, gdy królowa Krystyna szwedzka, chcąc mu się przypodobać, wprowadza w Rzymie modę „Inocentiana”: suknię wąską, skromną, rękawy długie, kołnierze wysokie, która jednakże nie znajduje naśladowczyń. Pomimo walki papieństwa ze zbytkiem i zakazów noszenia galonów i frendzli złotych pod groźbą wysokiej grzywny i egzekucji zbytkownych artykułów, nietylko u dam, ale u ich krawców i twórców mody—strój niewieści zdąża swoim torem i zmienia ramy, zależnie od stylu i epoki. W drugiej połowie XVII w. wchodzi w modę białe peruki, olbrzymie, zwane „mode du toupet”, gniazda całe na głowie, zamki, ogrody, skały;



„La bella di Tiziano” — Pałac Pitti we Florencji.

powstają poematy nawet o rycerzach, zabłąkanych na głowie damy. Wreszcie z powstaniem rokokowego stylu we Francji, Italja, panująca dotąd światu modą stylu Odrodzenia i Baroka, ustępuje pierwszeństwa modzie Wersalu, przyjmuje obce wpływy, aby już nigdy w historii stylów nie wrócić do głosu. Nic się właściwie nie zmienia w upodobaniach kobiety do stroju; zależnie tylko od konjunktury politycznej wybiera ona odpowiednią formę do uwydatnienia swej urody, przemawiającej zawsze do świata najsilniejszym argumentem.

Dlatego nie pomogły rozporządzenia papieża, statuty Signorji, grzywny, nakładane przez Radę Dziesięciu, satyry wybitnych pisarzy, ani puszczkowe przepowiednie moralistów. Przewaga kobiety przechodziła obojętnie obok tamy, która usiłowała podciąć jej strojne skrzydła, ale w nagrodę za pustotę i lekkomyślność zostawiła światu bogate dziedzictwo zbytku we wnętrzach swoich pałaców, w architekturze i malarstwie.





TEATR NARODOWY

„Ognie sztuczne”.—komedia w 3 aktach. Napisał Luigi Chiarelli. Przekład Zofji Jachimeckiej. Reżyserja Kazimierza Kamińskiego i Aleksandra Zełwerowicza.

Biada teatrowi, w którym zaczynają rządzić aktorzy, chyba, że tym aktorem jest Molier, Szekspir, albo choćby nasz zacny Bogusławski, jednym słowem—twórcą. Stosunek aktora-wirtuoza do sceny jest zawsze nieco kabotyński. Taki aktor, jeśli mu pozostawić wolny wybór, wybierze zawsze sztukę, w której będzie się mógł zgrywać dowoli, w której osoba jego zasłoni i pokryje bez reszty autora. Takie całkowite zamknięcie możliwe jest tylko w sztukach miernych. Hamlet zapanuje zawsze nad najgenialniejszym aktorem, ale Kamiński góruje nad „Bogatym wujaszkiem”, a tembardziej nad Scaramanzia w „Ogniach sztucznych”.

Podziwiając tego znakomitego aktora, nie można się oprzeć chwilami trochę przykreemu wrażeniu, że dobiera on sobie zawsze celowo sztuki, stanowiące doskonały „repoussoir” dla jego talentu, podobnie jak wyrefinowana kokietka chętnie otacza się nieciekawymi kobietami, na których tle tem lepiej uwydatnia się jej wdzięk i uroda.

Każdem, po mistrzowsku wyczelowanym słowem, każdym pracownicie wystudjowanym gestem Kamiński mówił do widzów:

— Patrzcie! tak się podnosi nicość do miary arcydzieła.—Ale głos jego był głosem wołającego na puszczy.

Bowiem inni aktorzy, nawet tak świetni, jak Ćwiklińska, nie umieją zonglować zerami. Grają porządnie, uczciwie, tak, jak się gra marną sztukę, w której ani jedna postać nie jest indywidualnością, ani jeden przypadek nie jest sytuacją, a wszystko razem nie jest teatrem, tylko prowincjonalną ramotą, niewiadomo przez jaką bolesną pomyłkę zabłąkaną na scenę Teatru Narodowego.

Wspaniała aktorska robota Kamińskiego ze szczętem pognębiła jego robotę reżyserską. Nie wolno aktorowi, który jest zarazem reżyserem sztuki, tak machnąć ręką na wszystko, co nie jest własną grą; nie wolno sztuce, która jest pozbawiona nietylko ekspozycji, ale wogóle zdrowego sensu, dawać takiego tempa w pierwszym akcie, że jedna połowa publiczności śpi, a druga z niecierpliwością oczekuje skandalu, sądząc, że sufler zachorował i za chwilę aktorzy zaczną improwizować.

Największym skandalem było właśnie to, że nie improwizowali, ale niewolniczo i bez zapалу powtarzali brednie, w które nikt nie wierzył. Jedna udana rakietka — gra Kamińskiego — nie uratowała „Ogni sztucznych”. Pozostał po nich gryzący dym niesmaku, który nadługo zatrul atmosferę Teatru Narodowego. Biedny ten teatr na gwałt domaga się lepszej wentylacji. W przeciwnym razie publiczność i aktorzy uduszą się w wyziewach kabotyzmu.

TEATR LETNI:

„Sekretarka pana prezesa”—komedia w trzech aktach Władysława Fodora. Reżyserował Al. Zełwerowicz.

Po wstrętnym zaduchu—ożywczy powiew. Jakby ktoś wybił okno w zaplesniałym murze i wpuścił strumień świeżego powietrza. Nie dlatego, żeby „Sekretarka pana prezesa” była sztuką o wyjątkowych wartościach artystycznych. Idąc do Letniego, wyzbywamy się wszelkich pod tym względem wymagań: chcemy się śmiać, aż do łez, bodaj z głupstwa—niech to głupstwo będzie tylko ładnie podane. I spotkała nas miła niespodzianka. Były łzy, ale łzy szczerzego wzruszenia, kiedy biedna „mysz kościelna” opowiadała nam w pierwszym akcie o doli urzędniczki bez posady, która, chrupiąc rogalik przed wystawą delikatesów, spożywa w wyobraźni przysmaki, dostępne tylko bogaczom. Albo ten efekt końcowy pierwszego aktu, kiedy sprytna Zuzia Sachs, szturmem zdobywszy upragnione miejsce „sekretarki prezesa banku,” załatwia swój pierwszy „telefon prywatny.”

— Niech pan pośle mojej mamie—mówi do znajomego sklepikarza—10 kilo mąki, 5 kilo ryżu, 5 kilo gryssiku, 12 pudełek sardynek; niech pan jej powie, żeby rozpałała w piecu i żeby gotowała, gotowała, gotowała!...

Ten krzyk długo krzywdzonego żołądka ma w sobie bodaj więcej prawdy życiowej, niż późniejsze skurcze budzącego się serduszka młodej sekretarki. Głód chleba wymowniejszy jest, widać, niż głód miłości, a może tylko dotychczas scenicznie mniej nadużywany. I może dlatego pierwszy akt sprawia wrażenie niezwykłości i świeżości pomysłu komedjowego. Autor zagrał na najczulszej strunie: dotknął problemu inteligencji bezrobotnej — a uczynił to bez demagogji i przesady, ot, tak sobie, mimochodem, napół drwiąco... i wycisnął łzy nietylko na galerji, ale i w krzesłach, gdzie się zbiera śmietanka premierowa. Łzy tem szczerze, że ukryte.

Efekt pierwszorzędnny.

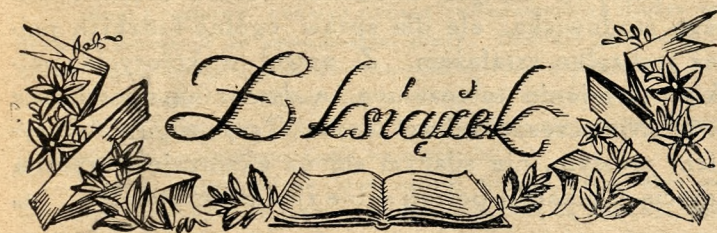
W następnych odsłonach akcja rozwija się już znacznie banalnie. Jesteśmy przygotowani zgóry na to, że cnota będzie nagrodzona, i że dzielna „mysz kościelna” zdobędzie swego prezesa; że zdystansuje w bezinteresownej miłości wszystkie swoje poprzed-

niczki, podobnie jak zdystansowała je w energii, pracy i organizacji.

Dużo komizmu mają te sceny, zresztą przeszarżowane, w których sekretarka swoim „genjuszem urzędniczym“ wprawia w podziw zarówno swego szefa, jak i jego otoczenie. Zrozumieliśmy teraz, dlaczego Ola Leszczyńska jest tak szczupła. Przy takim tempie pracy schudnie nawet i Zelwerowicz. Miejmy nadzieję, że to się stanie po trzecim akcie, kiedy „mysz kościelna,“ jako małżonka swego byłego szefa, nie na żarty zapędzi go do roboty. Tymczasem jest rzeczą bardzo wskazaną, aby na tę sztukę uczęszczali wszyscy dyrektorzy departamentów i prezesi banków. Przyjemnie jest popatrzeć na dobrą robotę, choćby na scenie.

Świetny był Orwid, jako stary urzędnik bankowy.

S. P. O.



Hanna Mortkowiówna: „Gorycz wiośniana“ powieść. Warszawa—1928. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Pierwsza powieść młodej autorki—pierwsza jaskółka, wypuszczona w świat. Tym razem wiosna jest nie tylko w tytule. Bije ona ze wszystkich kart książki nawskroś młodzieńczą postawą wobec życia, młodzieńczą jego koncepcją, gorączkowym pośpiechem w chłonięciu zjawisk, powolnością w ich przetrwaniu, rozlewnym smutkiem w kontemplacji ich przedwczesnych szczątków.

Tyle już tłucze się po literaturze powieści o podlotkach, pisanych przez stare panny, młode mężatki, matrony, które nigdy podlotkami nie były, podtatusiałych donżuanów, którzy na stulone pączki młodości patrzą przez monokl okiem znawcy—że ta książka, pisana przez młodą dziewczynę, notująca skrupulatnie wszystkie wahania, upadki i wzloty porastającej w pióra duszyczki, ma wagę osobistego zwierzenia i jako dokument psychologiczny przedewszystkiem powinna być sądzona. Potem dopiero idą jej wartości literackie, i ma się chwilami wrażenie, że autorka sama—instynktownie, czy celowo—stawiała je na drugim planie, na czoło wysuwając autentyczność przeżyć. Ta sama autentyczność, za którą z takim wysiłkiem ugania się współczesny snobizm literacki, tutaj wypłynęła na wierzch siłą rzeczy, jak oliwa. Prostu autorce łatwiej było patrzeć na świat, nie wychodząc z siebie, a tylko cofając się wstecz o kilka lat.

W „Goryczy wiośnianej“ niema nic zmyślenia, nawet tak naturalnego i zrozumiałego w młodości przejawiania i wyolbrzymiania faktów. Jest czasem próba zrobienia z jakiegoś epizodu nowelki, próba dyskretna i nieśmiała. Zresztą wszystko jest takie prawdziwe, że aż nie zakrawa na powieść. Stosunek do rzeczywistości prosty, rzetelny, uczciwy. „Takim mnie, Panie Boże, stworzyłeś—takim mnie masz“. Autorka nie sili się na interesującą fabułę, nie pozuje na niezwykłość. Staje przed nami wyprostowana, jak skautka w szeregu, i oznajmia poprostu:— To ja jestem Wiśka; czy mnie poznajecie? Trochę jestem starsza, niż tamta w opadniętych skarpetkach, no, i cokolwiek mądrzejsza. Już nie becuję o to, że mi chłopcy powiedzieli: „Poszła won, do swoich bab“! i zwinęta w kłębek pod fortepianem na niedźwiedziej skórce, nie słucham, jak piękna panna Julja śpiewa: „Bywaj dziewczę zdrowe“. Ale podawnemu piszę wiersze i umiem się kochać, jak moja Wiśka. I, jak ona, między niebem gwiazdzistym od obietnic, a ziemią, rozdyszaną bujnem tchnieniem wiosny, wstępuję zuchwałą stopą na niewybudowany jeszcze most, mający w mgle Niewiadomego.

„Goryczą wiośnianą“ panna Hanna Mortkowiówna wystawiła sobie piękne świadectwo. Nie jest to jeszcze świadectwo dojrzałości literackiej, ale proste skautowskie „czuwaj!“, od którego rzeźko robi się na duszy. W jej wiosnie jest gorycz prawdy, niema mętów wewnętrzznego zakłamania. Z pobłażliwym uśmiechem, ale i ze łą rozrzewnieniem, patrzy autorka na „grzechy“ swego dzieciństwa. Kiedyś taksamo spojrzy na swoją pierwszą powieść.

S. P. O.

Bronisław Gałczyński. — Drzewa liściaste, leśne i alejowe. — Nakładem autora. Piaseczno pod Warszawą—1928 rok.

Nie, ta książka stanowczo nie jest przeznaczona dla zawodowych ogrodników, którzy potrafią patrzeć na drzewo tylko poprzez jego łacińską nazwę i długi korowód teoretycznych wskazań, jakie się z nią wiążą. Najpiękniejsze ustępy tego dziełka przeszłyby mimo nich niezauważone, lub zlekceważone i zginęłyby w gorączce poszukiwania nowych wskazań, teoryj i przepisów, dotyczących hodowli drzew. Zato każdy amator-ogrodnik, który kocha drzewa nie tylko za ich realne wartości i właściwości, ale który potrafi na nie spojrzeć od tej trzeciej strony—piękna i nastroju—książkę p. Gałczyńskiego przeczyta napewno z ogromnem zainteresowaniem. Książka ta, bowiem, jest dziwnie harmonijnym splotem literackości i naukowości, piękna i pożytku. Autor podchodzi do tematu przedewszystkiem od strony uczuciowej, odnajduje z wielką wnikliwością duszę drzewa, o którym pisze, a potem dopiero następują wskazówki teoretyczne, wpływające, jako wnioski z poprzednich, czysto uczuciowych, przesłanek. O stosunku autora do tematu

świadczą chociażby nazwy, jakie nadaje z przedziwną inwencją twórczą poszczególnym drzewom. A więc: dąb — groźny monarcha, wiąz — drzewo zdradzieckie, wierzba — drzewo ludzi pokrzywdzonych, grab — drzewo dyskretne, i, najpiękniejsze — brzoza — lasów jasna pani.

W trakcie czytania książki p. Gałczyńskiego uderza nas również niesłychana erudycja autora, nie tylko naukowa, ale i anekdotyczna: ładnie dobrane cytaty z utworów polskich i obcych, moc legend i dykteryjek — przyczynia się ogromnie do ożywienia stylu książki, dzięki czemu stanie się ona zapewne miłą lekturą nawet dla ogółu ludzi, którzy mogą mieć jedynie tylko pośredni kontakt z przyrodą. Jestem pewna, że książka p. Gałczyńskiego nauczy niejednego kochać polskie drzewa.

Z. M.

Jack London „Jerry z Wysp” — Przekład W. Borudzkiej i M. de Kleista. Tow. Wydawnicze „Rój” — Warszawa 1927 r.

Cudowne są zazwyczaj wszystkie „psie” historie. Przy czytaniu ich odrzuca się wszelki balast nieutności, konieczny przy pojmowaniu ludzkich spraw, i bierze się poprostu sentyment jaknajgorętszy w serce, aby przejść od początku do końca wszystkie przygody naszych czworonożnych przyjaciół. Jakiś obcy, człowieczy zgrzyt w tych psich przeżyciach jest dla czytelnika specjalnie niemiły, gdyż czuje się on wówczas oszukany w swojej ufności i nigdy tego autorowi nie daruje.

Historja o Jerry, małym, złotym terjerze, jest historją jaknajbardziej psią. Niema tu logicznych rozumowań, niema nici, wiążących myśli i czyny, wogóle niema prawie świata istniejącego poza granicami psiego pojmowania, ani poza polem widzenia złotych ślepków Jerry. Piszę — prawie, — gdyż chwilami świat, w ludzkim rozumieniu, wpycha się między Jerry, a czytelnika. Dzieje się to w momentach silniej, więc bardziej po człowieczemu, przeżywanych przez autora, np. choćby w epizodzie śmierci Kapitana, lub napadu murzyna, drugiego boga — człowieka Jerry. Są to jednak tylko chwile, które musimy wybaczyć, autorowi, gwoli jego człowieczeństwa. Niemniej jednak książka jest prześlizczna przez swą bezpośredniość uczuciową: poprostu ozłocona złotem sercem małego Jerry. I to jest jeszcze miłe, iż rozstajemy się z Jerry w błogim przeświadczeniu, że mu w tej nienapisanej części książki ułoży się życie jaknajprzyjemniej. Zbyt go kochamy przecież, aby spokojnie znieść jego przyszłe umartwienia.

Przekład W. Borudzkiej i M. de Kleista jest doskonały, dzięki nadzwyczaj subtelnemu odczuwaniu przez tłumaczów barwy i dźwięku poszczególnych słów. Układają je oni kunsztownie i mądrze, podkreślając tem nie tylko doskonałość stylu Londona, ale i własny, indywidualny talent.

Z. M.

Eustachy Czekalski: „Milczące Młyny” — nowele. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Nowele Eustachego Czekalskiego mają wspólną cechę — dydaktyczną, gdyż autor prawie w każdej anegdocie stara się pogłębić i ku pożytkowi spraw ogólnych dostosować jakieś zagadnienie.

Będzie to więc problem pracy w „Milczących Młynach”, kwestja ambicyjek politycznych i otumaniania prostaczków w interesującej „Opowieści o Mehmedzie Sahinagicu”, zagadnienie militarizmu i antimilitaryzmu w „Strzaskanym Posagu”.

Motywy czerpie Czekalski bardzo często z obcego środowiska, ale dla spraw ogólnoludzkich pejzaż jest tylko sztafażem. Z nowel o kolorycie polskim wymienię tu rozumną, a dyskretną opowiadkę p. t. „Niewczesne zaloty” oraz „Trzy wigilje.” Językiem prostym, nie silącym się na ekspresję i zręczną naracją, Czekalski potrafi sobie zjednać czytelnika

nh

Zygmunt Kisielewski: „Amerykanka” — powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Typ kobiety śmiałej, a jednak kobiecej. Kobiety rozumnej, świadomej swoich obowiązków i swego honoru. To pojęcie honoru kobiety jest u Kisielewskiego nowe, nieszablonowe, i warto się takim postawieniem zagadnienia zainteresować.

Mniej udatne są postacie męskie. Ma się wrażenie, że spotykaliśmy je już w literaturze, może nawet w innych utworach Kisielewskiego. Powojenne karkołomne paskarstwo, mętne interesy, świadoma i nieświadoma amoralność — są to tematy, już dość zużyte. Przeciwwagą rozpaskowanej bandy jest mistyk i filozof Gątkowski, jako typ przeszłości, oraz Antek Zagroźniński, syn chłopca, zdrowy fizycznie i niedający się złamać moralnie (greckie „kalos k'agatos!”) — jako typ dzisiejszej tężyzny.

Zaletą powieści Kisielewskiego jest żywy tok akcji oraz zajmująca fabuła. Pod względem stylu wyzwolił się Kisielewski z pod wpływu Żeromskiego, odrzucił jakgdyby wszelkie zdobnictwo, unika artystycznych dygresyj. Chodzi mu o przejrzystość tendencji i o wyrazistość rysunku.

nh



Kobieta w świecie i w domu

„ZUCHY”

Wychowywanie w pewnej ideologii musi rozpoczynać się od lat najmłodszych, by wytworzyć typ człowieka, kierującego się tak za korzennymi ideami, że późniejsze wpływy destrukcyjne już ich nie usuną. Założenie to przyjęli wszyscy wielcy wychowawcy. W ruchu skautowym we wszystkich państwach daje się zauważyć obecnie silne zainteresowanie drużynami „zuchów” i „wilcząt”, których kierownictwo biorą w ręce ludzie, specjalnie przeszkoleni dla tej pracy.

W Polsce harcerstwo siłą faktów zostało zmuszone do rozszerzenia gromad „zuchowych”: dzieci garną się do nich wprost żywiołowo i wykazują wiele pomysłowości w swych zajęciach. Zmusiło to instruktorki do studjów nad psychologią i higieną dziecka, pedagogiką i działem opieki społecznej nad dziećmi.

Ruch „zuchowy” z okresu ślepego naśladownictwa drużyn harcerskich przeszedł do samodzielnej pracy. Obecnie gromady „zuchowe” mają swoją własną obrzędowość, własne piosenki, gry i zabawy; pozostanie on jednak ściśle związany z harcerstwem przez kierownictwo, metodę i ideologię, a wreszcie i cel pośredni: przygotowanie przyszłych zastępów harcerskich.

Celem bezpośrednim jest rozwój dziecka, kierowanie jego wrodzoną żywocią, zmysłem badawczym, chęcią zabawy, dążeniem do radości; kształcenie uczuć altruistycznych, godności „zucha”, który „nie kłamie i zawsze dotrzymuje słowa”.

W roku zeszłym odbyła się pierwsza „Konferencja zuchowa”, zorganizowano pierwsze „Kolonje zuchowe” i utworzono Wydziały „Zuchów” w 6 komendach: Krakowskiej, Lwowskiej, Mazowieckiej, Poznańskiej, Warszawskiej i Wileńskiej. Przygotowano też do druku podręcznik instrukcyjny i przeprowadzono szereg kursów dla kierowniczek gromad „zuchowych”.
Z. Zal.

KOLONJE LETNIE ZWIĄZKU OBRONY KRESÓW ZACHODNICH

Martyrologia wrzesińska nie była ostatnim etapem w ataku niemieczyny na Polskę. — Metody polityczne Bismarcka mają w dalszym ciągu szerokie zastosowanie; resztę pracy, mającej na celu wynarodowienie ludności polskiej w Niemczech, wykonują nacjonalistyczne bojówki niemieckie, Czarna Reichswehra — o czym nas przekonał proces szczeciński — dalej — kler i wreszcie — nauczyciel.

System polityki niemieckiej doprowadził do tego, że przy półtoramiljonowej liczbie ludności polskiej w Niemczech, do szkół polskich na Śląsku Opolskim uczęszcza zaledwie 630 dzieci, podczas gdy ludność niemiecka, o sile 800 tysięcy, posiada szkoły niemieckie dla przeszło 70 tysięcy.

Zestawienie tych dwu cyfr dostatecznie odzwierciedla narodowościową politykę niemiecką.

Dla Polski jest rzeczą jasną, że Niemcy w czasie możliwie najkrótszym chcą Polaków zgermanizować, aby później tem śmielej i tem pewniej wyruszyć na dalszy podbój ziem polskich.

Wybuch gazów trujących w Hamburgu jest jeszcze jednym niezbitym dowodem stałego przygotowywania się niemieczyny do wyruszenia do walki zbrojnej z Polską.

Obok innych prac swoich Związek Obrony Kresów Zachodnich, prowadząc od 5-ciu lat uciążliwą walkę z naporem niemieckim, apeluje do Was, Rodacy: przyjdźcie nam z pomocą, pomóżcie nam w walce z germanizacją dzieci polskich, czuwajcie nad niebezpieczeństwem niemieckim!

Przyjdźcie z pomocą przedewszystkiem przy urządzaniu kolonij letnich dla dzieci polskich z Niemiec, które od pięciu lat sprowadzamy poto, aby je przekonać, że to wszystko, co słyszą o Polsce w szkołach niemieckich, jest fałszem i obłudą.

Pragniemy w ten sposób wzbudzić w młodocianych duszach uczucia narodowe polskie, które mogą stać się, i istotnie stają się puklerzem ochronnym w walce z naporem hydry niemieckiej, sięgającej stale i systematycznie nie tylko po ziemie polskie, ale i po dusze polskie. Wpajamy w dzieci przekonanie, że jest obowiązkiem ich i ich rodziców domagać się szkoły polskiej, która się im prawnie należy.

Związek Obrony Kresów Zachodnich w roku 1923 sprowadził do Polski 436 dzieci, w r. 1924 — 967, w r. 1925 — 2.360, w r. 1926 — 4.773; w r. 1927 — 9.411; ogółem do chwili obecnej utworzono kolonje letnie dla 17.947 dzieci.

W roku bieżącym, wobec wzrastającego naporu germanizacyjnego, Z. O. K. Z. zmuszony jest przyjąć 20.000 dzieci na okres letni.

Nie możemy spełnić w całej rozciągłości naszego obowiązku bez pomocy społeczeństwa, która to pomoc w latach ubiegłych polegała na zgłaszaniu miejsc, gmachów na zorganizowanie kolonij wzorowych, subwencji na utrzymanie dzieci, składaniu darów w naturze i w gotówce.

Wzorem lat ubiegłych, apelujemy do wszystkich czujących serc, troskających się o los Polski i los polaków w Niemczech, i gorąco prosimy o zgłaszanie miejsc i darów pod adresem: Związek Obrony Kresów Zachodnich, Warszawa, Nowy-Świat 21, tel. 518-75

KURSY SPOŁECZNE DLA KOBIET

Szkoła Pracy Społecznej im. Baranieckiego w Krakowie rozpoczyna swoje wykłady z dniem 15 września 1928 r. Szkoła została rozszerzona i obejmować będzie w roku bieżącym trzy następujące działy (każdy z kursem rocznym):

1) Dział organizacyjno-społeczny ma za zadanie przygotowanie działaczy społecznych, prelegentów, sekretarzy i sekretarek organizacji społecznych i t. p.

2) Dział gospodarczo-handlowy daje przygotowanie fachowe i stawia sobie za cel przygotowanie pracowników, uzdolnionych zarówno do pracy handlowej w przedsiębiorstwach prywatnych, jak i kooperatywach, kółkach rolniczych i t. p.

3) Dział bibliotekarsko-oświatowy ma za zadanie specjalizację w zakresie pracy oświatowej, prowadzenie czytelni i bibliotek ludowych, popularyzację wiedzy i t. p.

Szkoła jest koedukacyjna. Wymagane jest dla wstępujących przygotowanie w zakresie 6 klas szkoły średniej. Osoby, które nie mogą się wykazać przygotowaniem w tym zakresie, przyjmowane być mogą na słuchaczy wolnych. Wrazie pomyślnego zdania egzaminu półrocznego, uzyskują prawa słuchaczy zwyczajnych.

W szkole wykładają docenci i profesorowie Uniwersytetu lub wybitni fachowcy. Obok wykładów organizuje Szkoła w szerokim zakresie praktykę w organizacjach społecznych, wycieczki i t. p. Godziny zajęć są popołudniowe, a to w tym celu, by udostępnić korzystanie z wykładów osobom, zajętym pracą zawodową, dla których uzupełnienie wykształcenia, jakie mogą zdobyć w Szkole, jest szczególnie cenne. Opłata wynosi 120 zł. za jeden semestr (240 za cały kurs), wpisowe 15 zł. Innych opłat Szkoła nie pobiera.

Szkoła Pracy Społecznej jest subwencionowana przez Min. W. R. i O. P. Za dzieci urzędników państw. Skarb Państwa pokrywa opłatę w całości. Kończący Szkołę otrzymują dyplomy. Zapytania w sprawie szczegółowych programów i t. p. należy kierować pod adresem Sekretarjatu Szkoły: Kraków, Karmelicka 32. Wpisy przyjmuje Sekretarjat Szkoły do 15.VII 1928 r. i od 1.IX do 15.IX 1928 r.

MIĘDZYNARODOWY KLUB AKADEMICZEK

Z inicjatywy studentek Wielkiej Brytanji powstał w Londynie, w miejscu, gdzie ongiś stał dom Tomasza Moore'a, klub, nazwany „Crosby Hall”, który jest jednym z wielu ośrodków życia kulturalnego, zakładanych przez międzynarodowy związek studentek.

Crosby Hall londyński ma być centrum pracy i życia towarzyskiego nie tylko dla angielskich, ale dla wszystkich kobiet, należących do Międzynarodowego Związku Studentek.

Głównym celem klubu stanie się bowiem dążenie do zorganizowania stałej wymiany wartości kulturalnych i intelektualnych pomiędzy kobietami wszystkich narodów cywilizowanych.

Podobne kluby istnieją już w Ameryce: w Nowym Jorku i Waszyngtonie; w Rzymie i w Atenach przystąpiono właśnie do założenia podobnych organizacji; filja amerykańskiego klubu akademickich w Paryżu udziela chętnie gościny wszystkim kobietom innych narodowości, studującym na wyższych uczelniach francuskich.

W uroczystości otwarcia angielskiego klubu akademickich w Londynie wzięli udział wybitni przedstawiciele państwa Brytyjskiego, oraz 20 przedstawicieli państw obcych. H. S.

PRASA POLSKA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Ogółem w Stanach Zjednoczonych, gdzie skupiły się znaczne masy emigrantów polskich, wychodzi 80 czasopism polskich, w tem 16 dzienników, reszta — tygodniki.

Największy nakład posiada tygodnik „Z g o d a”, wychodzący w Chicago. Bije on przeszło 140.000 egzemplarzy.

Drugie miejsce zajmuje tygodnik „Ameryka-Echo” — w Toledo, którego nakład wynosi 120.000 egz. Dalej idzie tygodnik „Gwiazda Polarna”, wychodzący w Stevens-Point, drukuje 60.000 egz. Dziewięć tygodników ma nakład od 10.000 do 25.000 egz., reszta bije poniżej 10.000 egz.

Z pośród dzienników największy nakład posiada „Dziennik Związkowy”, wychodzący w Chicago w ilości 50.000 egz.

Następnie idą kolejno: „Dziennik Chicagoski” (35.000 egz.); „Kurjer Polski” w Milwaukee (35.000 egz.); „Dziennik Zjednoczenia” w Chicago (24.000 egz.); „Rekord Codzienny” w Detroit (23.000 egz.); „Dziennik dla wszystkich” w Buffalo (20.000 egz.); „Dziennik Polski” w Detroit (17.000 egz.); „Nowy Świat” w Nowym-Jorku, (15.000 egz.); „Pittsburzanie” w Pittsburgu (11.000 egz.); „Kurjer Codzienny” w Bostonie (4.500 egz.); „Kurjer Narodowy” w Nowym-Jorku (3.500 egz.) itd. itd.

Najmniejszy nakład, bo zaledwie 2000 egz., posiada dziennik komunistyczny „Głos Robotnika” w Detroit. Ogólny nakład wszystkich pism polskich w Stanach Zjednoczonych sięga 890.000 egz. H. S.

PRODUKCJA MLEKA KOBIECEGO NA STACJACH MLECZNYCH W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Produkcja ludzkiego mleka na sprzedaż wprowadzona została w Stanach Zjedn. przez Childrens Welfare Federation N:Y w 1921 r. Od października 1921 r. do maja 1926 r. — 5296 litrów ludzkiego mleka rozpowszechniono zapomocą agencji powyżej wymienionego stowarzyszenia.

Kobiety przychodzą regularnie w godz. od 10 — 3 do stacji mleczej i t. zw. m a t r o n, t. j. dozorczyń, daje instrukcje, co do ściągania mleka, utrzymywania butelek w stanie sterylizowanym itd.

Idealna czystość jest przestrzegana również co do osobistej higieny matek. Mleko ściągają matki ręcznie, bez pomocy pompek, pospolicie w szpitalach używanych. Robią to bardzo zręcznie, dzięki odpowiednim instrukcjom dozorczyń. Mleko jest zbierane z podziałką z małych sterylizowanych butelek do sterylizowanych większych i umieszczane w chłodniach (refrigeretor) dla ochłodzenia.

Czas, potrzebny do ściągnięcia mleka, jest bardzo różny, zależnie od wprawy kobiety. Jedna z matek, która sprzedawała swe mleko podczas trzech okresów karmienia, mogła ściągnąć 480 gr. w 1 1/2 godz., przeciętnie jednak ściągają około 230 — 280 gr. w 1 1/2 godziny.

Matki, których niemowlęta są zarejestrowane w „baby health station” i którym waga przybywa normalnie, mogą sprzedawać swe mleko w ilości ponad ilość, potrzebną dla własnego dziecka. W razie, gdy okaże się niedostateczny przyrost wagi u niemowlęcia, matka traci prawo sprzedawania do chwili, gdy jej dziecku przybywać zaczyna normalnie. Poza tem próbka mleka od każdej kobiety jest analizowana co miesiąc.

Zdumiewające jest, jak wiele mleka można osiągnąć, gdy dozór nad racjonalnem ściąganiem i higieną matek jest umiętny.

Jedna z matek dostarczała mleka przez 11 miesięcy i często dawała 1200 gr. poza zupełnem zaspokojeniem swego niemowlęcia! Przeciętnie kobiety zarabiają 100 — 250 dolarów miesięcznie; 50 centów otrzymują za pierwsze 150 gramów, następnie 15 centów za każde 30 gramów.

Im więcej jest danego dnia zapotrzebowań na mleko, tem mniejsze porcje są sprzedawane, ponieważ celem stacji jest rozpowszechnianie ludzkiego mleka, gdyż jest to jedyna praktyczna droga do zmniejszenia śmiertelności niemowląt.

Pozatem w ten sposób dostarczyć można kobietom nowego źródła dochodu, daleko odpowiedniejszego dla matki i żony, niż praca zarobkowa poza domem.

Źródła:

1. Chapin H. D.—Produkcja i rozpowszechnienie ludzkiego mleka. — Journal of American Medical Association—str. 1364 — 66 tom 87 1926 r.

2. Philbin E.—Zbiórka mleka ludzkiego.—American Journal of nursing—str. 101 — 5 + 26 1926 r. M. Morzkowska.

KOBIETY Z DALEKIEGO WSCHODU

Znany podróżnik, książę Wilhelm szwedzki, opowiada swoje spostrzeżenia o charakterze i obyczajach kobiet sjamskich.

W kołach wyższych, wśród arystokracji i bogatych kupców, panie sjamskie stosują się do mody europejskiej. Niektóre są bardzo ładne, wiele z nich kształci się. — Królowa Sjamu np. włada doskonale językiem francuskim i angielskim, posiada b. żywą inteligencję i jest ogólnie uważana za młodą osobę czarującego charakteru i obejścia.

Jest też jedyną żoną swego męża. Dotychczas bowiem w Sjamie panowało wielożeństwo. Aczkolwiek zawsze istniał zwyczaj, że jedna tylko z żon, zwana „rządzącą panią”, przyjmowała gości, zwłaszcza cudzoziemców, i towarzyszyła mężowi z wizytami — pozostałe odgrywały jedynie rolę dam haremowych. Obecny jednak król Sjamu nie ma wcale haremu.

Kobiety sjamskie są bardzo dobrymi gospodyniami, wiele z nich np. prowadzi z zamiłowaniem kuchnię europejską; domy utrzymane są z elegancją i wykwinem. Z rozrywek uwielbiają sjamejki taniec. Najpiękniejszym dla nich widowiskiem jest balet, narodowym tańcem jest t. zw. „Shiwa”, przypominający do złudzenia Charlestona.

Tradycje historyczne wspominają o czynach kobiecego patriotyzmu i poświęcenia. Jeden z nich stał się nawet podłożem praktykowanego do dziś obyczaju. Kiedyś, przed wiekami, nieprzyjacieli oblegali dawną stolicę kraju — Lopduri. Walki były tak długie i krwawe, że połowa mężczyzn wyginęła. Wtedy kobiety obcięły swe warkocze i, splecione, owinęły sobie wokoło nóg, szczerlinie, aby wyglądały, jak w spodniach, i aby oblegający myśleli, że znów na murach zjawili się nowi obrońcy. Niewiadomo, ile jest prawdy w tem podaniu. Ale faktem jest, że wszystkie kobiety sjamskie noszą do dziś krótkie włosy — jakoby na pamiątkę. Moda ta panowała tu stale i nie jest wcale odbiciem fryzur à la garçonne z Zachodu. N. J.

ILE JEST WART CZAS?

Istnieje w Polsce jedna rzecz niezmiernie tania. Cena jej, a raczej brak ceny, trwa od niepamiętnych czasów: przetrwała wojnę, inflację, liczne zmiany waluty, nawet drożyznę—bo ten towar nie drożeje.

Jest to czas.

Wprawdzie chętnie powtarzamy za anglikami, że czas—to pieniądz. Zdobyliśmy się nawet na dydaktykę w tym zakresie, wyrażoną bardzo dekoracyjnie, umiściliśmy w różnych biurach barwnie wypisane sentencje: „Zajętemu pracą nie zabieraj czasu — kończ sprawę i żegnaj“, „Sznuj czas swój i cudzy” i t. p., ale jest to tylko dekoracja, obowiązkowy rekwizyt, coś podobnego, jak wentylatory ściennie w pokojach, zwykle zaklejone tapetą, bo nikt ich nigdy nie otwiera!

Zasadniczo umiemy z przedziwną wprawą marnować czas — zarówno swój, jak i cudzy.

Jest to poprostu obiekt, któremu nie nadajemy wartości.

Objaw ten rzuca się jaskrawo w oczy w życiu publicznem. Czy to będzie wiec, czy odczyt, teatr, czy posiedzenie — połowa przynajmniej obecnych spóźni się. Jest to fakt tak już pospolity, że poprostu stał się regułą; nikt nawet nie protestuje. Czasami robią to dyrekcje teatrów w wyjątkowych wypadkach, zwykle wtedy, gdy występuje jakaś wielka sława zagraniczna, której trudno wytłumaczyć, że w Polsce właśnie śpiewacy i wirtuozi muszą zaczynać przy akompaniamencie trzaskania krzesel, drzwi i różnych hałasów spóźniających się przybyszów. Ogłasza się wtedy, że bezwarunkowo po zaczęciu przedstawienia, lub koncertu, nikt już wpuszczony nie będzie. Rezultatem tego jest zwykle wielka obraza i liczne krytyki długiego szeregu tych, co nie „zdążyli“ na czas. Ponieważ jednak takie obostrzenia zdarzają się rzadko, więc nie wpływają wiele na stały bieg spraw naszego życia.

A przecież ten właśnie objaw, tak często krytykowany i omawiany, a tak rzadko racjonalnie wykończony, jest najklasyczniejszym dowodem naszego braku zrozumienia wartości czasu i braku umiejętności właściwego użytkowania go.

Bo nie sądzmy, że ci wieczni spóźnialscy, to ludzie specjalnie zajęci—gdzież tam! Częściowo padają oni ofiarą ogólnego łańcuszka, wytwarzanego przez warunki niepunktualności i marnowania czasu, lecz przeważnie i sami nie potrafią dać sobie z nim rady.

Poprostu, brak nam wszystkim racjonalnego nastawienia w tym kierunku, brak nam uznania wartości każdej minuty, jako rzeczy realnej.

Niema o tem w całokształcie naszych stosunków nawet mowy.

Mówi się, np. wiele, jak wysokie wymagania pod tym względem stawiają w Europie i Ameryce szefowie i pracodawcy swoim pracownikom—najmniejsze spóźnienie stanowi poważne wykroczenie—nie bierze się

jednak wcale pod uwagę drugiej strony medalu — że tam szanowany jest nie tylko czas biura, interesu, ale również i czas pracownika!

Spóźnić mu się nie wolno, ale i jego nikt nie przetrzymuje. O godzinie, raz oznaczonej, wszyscy kończą zajęcie, i amerykański, od którego pracodawca wymagałby przeciągnięcia pracy o pół godziny, np., uważałby to za formalne nadużycie.

U nas, przeciwnie: pracownicy często się trochę spóźniają, częściej znacznie są przetrzymywani, nieraz godzinami; nie liczy się zaś zbytnio ani jedno, ani drugie: przecież to tylko czas!

Taksamo nie myśli się o racjonalnej organizacji pracy.

Ta wielka sprawa, która gdzieindziej uważana jest za pierwszorzędną, nad którą pracują setki fachowców — u nas za ledwie gdzieindziej bywa wspomniana. Zdarzyło mi się spotykać inteligentów, którzy zupełnie zrozumieć nie mogli, o co chodzi. Organizacja pracy—co to takiego?..

Nic dziwnego. Chodzi tam przecież o dwie tylko rzeczy: osiągnięcie maksimum pracy przy minimum zużycia sił i... czasul

U nas—wystarczy spędzić pół godziny w poczekalni jakiego większego biura lub urzędu. Pierwszą rzeczą, która się rzuca w oczy, jest ciągła defilada. Co chwila przebiegają urzędnicy i urzędniczki z papierami, co chwila odzywa się dzwonek, i woźny wzywa różnych pracowników to tu, to tam. Jeżeli mamy do załatwienia sprawę z którymś z szefów, to napewno podczas naszej 10-minutowej z nim rozmowy wejdzie do gabinetu ze trzech pokolei urzędników i t. p. i t. p. Tak jakby nie było telefonu, woźnych i gońców. Utało się poprostu, jako klasyczny zwyczaj, że każda maszynistka odnosi sama przepisane papiery. Biegająca ta zużywa przecież tylko czas!

I tak wszędzie! w biurze, w sklepie, w fabryce, w domu, w całym życiu.

Ileż to pań, bardzo nawet pracowitych i często pomagających służącym w różnych zajęciach, uważa za zupełnie naturalne dzwonić, aby ta służąca przybiegała z kuchni z jakimś drobiazgiem zapomnianym, lub ze szklanką wody! ile razy posyła się ją co chwila do miasta, bo.. zapomniało się kazać przynieść od razu wszystkiego, co potrzebne do domu itp. itp.

A tymczasem właśnie w życiu domowem, w tej ciągłej, niekończącej się krzątaninie, w złożonym kompleksie pozornie drobnych, a w gruncie ważnych i zającebiających się jedne o drugie robót—oszczędność czasu, umiejętne użytkowanie go i racjonalna organizacja pracy są niezmiernie potrzebne.

Przy racjonalnem użytkowaniu czasu, kobieta, nawet pracującą zawodowo, może jednak, jeśli nie ma zbyt licznej rodziny i drobnej dziatwy, dać sobie radę bez służącej; jeżeli zaś środki materialne pozwalają jej na utrzymanie służby, będzie miała wszelką możność

poświęcić parę godzin dziennie dzieciom, znajdzie czas na czytanie, na rozrywkę, czy na oddawanie się ulubionej jakiejś sztuce, nawet na... robotki. Podczas gdy osoba nie umiejąca zużytkować każdej chwili i marnująca czas, może nic nie robić, posiadać liczną służbę, a nie rozstrzygnie to kwestji: będzie jej ciągle brakowało... czasu. Tak, jak bogatemu nawet, lecz nieumiejącemu się liczyć człowiekowi, będzie zawsze brakowało pieniędzy!

Sposoby marnowania czasu są bardzo rozmaite—można tracić go, nic nie robiąc, lub, co jest komiczne, ale niemniej prawdziwe—przepędzać czas na robieniu rzeczy niepotrzebnych. Zbytńia pedanterja w porządkach domowych, np. ścieranie dziesięć razy kurzu, którego niema, robienie rzeczy, które zrobić może i powinna służąca, lub poprawianie po niej nieustannie—to też marnowanie czasu, jakże w dodatku pracowite i męczące!

Liczne, popularne, znane wszystkim przykłady z życia ludzi o wielkiej energii twórczej i wysokim rozwoju duchowym wskazują nam, jak wiele pracy produkcyjnej zamknąć można w każdym dniu życia. Curie-Skłodowska w czasie, gdy była już żoną profesora i pracowała wraz z mężem nad odkryciem radu, prowadziła sama gospodarstwo, obywając się bez służącej! Edison wydawał dziennik, którego był redaktorem, jedynym wypełniającym szpalty pisma współpracownikiem, drukarzem i kolporterem, a jednocześnie pracował nad ulepszeniem systemu telefonu Bella. Cóż mówić o tak wielkich! Jest prawie na porządku dziennym w Ameryce, że młodzi ludzie uczą się w tramwaju, jadąc do pracy, podczas przerwy obiadowej i t. p. To jest tylko racjonalne zużytkowanie czasu, oparte na dokładnem poznaniu jego wartości.

I nie wyklucza to wcale chwil wypoczynku — bynajmniej! polega tylko na tem, aby tego „far niente“ nie było zawiele—albo w znaczeniu istotnem — nie robienia niczego, albo robienia rzeczy zbytecznych.

Jeżeli z 24 godzin dnia odliczymy 8 na sen, co jest dla zdrowych ludzi zupełnie dostateczne, pozostaje nam 16. Licząc przeciętną normę 8 godzin na pracę zawodową, 3 na ubranie, posiłki, przejście lub przejazd do pracy, mamy jeszcze 5 godzin swobodnych — ogrom czasu! Odjąwszy nawet jeszcze 3 godziny na wypoczynek, czy rozrywkę, czy pracę dodatkową—pozostaje 2 godziny. Ile można dokazać, poświęcając systematycznie, przez całe życie, 2 godziny codziennie na naukę, lekturę, czy pracę społeczną, czy udoskonalenie swego gospodarstwa, czy zajęcie się dziećmi, czy poświęcenie się jakiemuś ulubionemu zajęciu lub sztuce! Pracując dwie godziny dziennie np. nad nauką obcego języka, można doskonale nim władać po roku; tak samo jest z różnemi innymi rzeczami, w tym samym stosunku.

Tyle wart jest czas, i nie posiadamy go wcale tak mało, umiejmy go tylko zużytkować—a drogą do tego jest zdanie sobie sprawy z jego wartości.

Rozłóżmy swoje zajęcia podług zgóry obmyślonego planu, racjonalnie i dokładnie; nauczmy się dobrze, ile czasu potrzeba nam na każdy nawet drobiazg, a wtedy odrazu będziemy mieli swój zegarek w głowie i będziemy odrazu wiedzieli, czego w danym dniu i w danej godzinie możemy dokonać, jakie zajęcie przeznaczyć sobie na którą porę, kiedy je zacząć i kiedy skończyć.

Jak wielką wartość nadaje się gdzieindziej każdej chwili, niech posłuży mały przykład.

W Anglii ukazało się ostatnio wydawnictwo, popularny „Magazine“, w którym na każdym artykule czy noweli oznaczony jest czas, potrzebny do przeczytania danego utworu!

Jest to dla wygody ludzi, którzy, wiedząc, jaką ilością czasu rozporządzają w wagonie, tramwaju, czy w poczekalni kolejowej—zorientują się, że taką to rzecz mogą przeczytać spokojnie, w całości, i tę właśnie wybiorą.

Tak jest—czas, to rzecz bardzo drogocenna. Pośpieszne tempo dzisiejszego życia, ogromna ilość wartości, które to życie niesie, a które musimy przerabiać i tworzyć, suma wiadomości, które każdy musi posiadać i nieustannie sobie przyswajając, liczne zajęcia, obowiązki, nawet przyjemności i rozrywki, dawniej nieznanne, cała nasza dzisiejsza kultura—wymaga bardzo skrupulatnego liczenia się z czasem, aby go na wszystko starczyło.

A starczy go nam dostatnio tylko wtedy, gdy nauczmy się cenić najmniejszą jego podziałkę. N. J.

DZIESIĘĆ DNI W CZECHOSŁOWACJI

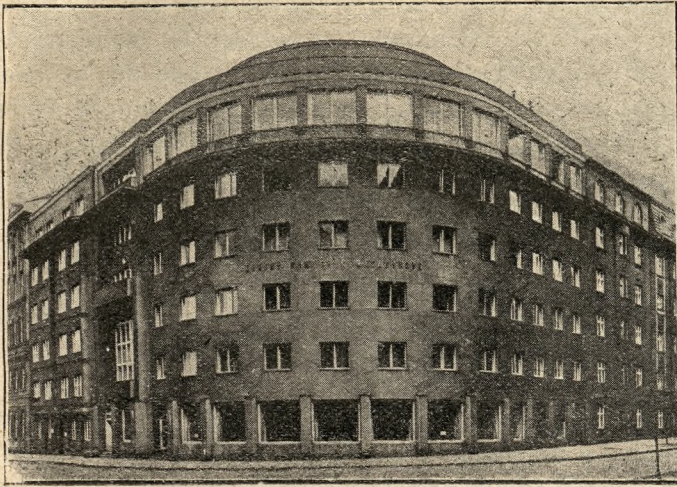
(dokończenie)

Rysunki te, niekiedy o wysokim poziomie artystycznym, były zawsze interesujące, wprowadzane z dużym umiarem i ogromną dozą pomysłowości samodzielną — każdy zeszyt posiadał zarówno technikę zdobienia, jak i motywy, wybitnie różniące się między sobą.

Zeszyt rachunkowy dawał obraz całokształtu prowadzenia rachunków domowych, mleczarskich, hodowlanych, inwentarz i zestawienie w doskonałym, przejrzystym i prostym układzie.

Wkrótce miałyśmy sposobność poznania szkolnictwa czeskiego bezpośrednio, gdyż program naszych wycieczek obejmował cały szereg szkół o najrozmaitszym charakterze i poziomie.

Pierwsza wycieczka odbyła się do Uhrzynewes, stacji doświadczałnej państwowej, której dyrektor był o tyle uprzejmy, że sam oprowadzał nas, kładąc w objaśnieniach dobitny nacisk na to, że stacja nie dąży do tego, żeby pokazać, lub dać coś nadzwyczaj-



Dom kobiety w Pradze

nego, ale zorganizowana jest tak, by każdy znalazł w niej metody pracy, które bez zbyt trudności może u siebie naśladować, że główne zadanie polega na tem, aby wszystkie działy gospodarstwa się opłacały. Po zwiedzeniu laboratoriów, hodowli, zabudowań licznych maszyn, pól doświadczalnych i kurników, udało się do kinematografu, gdzie szereg filmów dał nam poznać całoroczny przebieg prac gospodarczych, prowadzonych narzędziami, ułatwiającymi i udoskonalającymi robotę i wpływającymi na podniesienie produkcji.

W Chrudzini, którą zwiedzałyśmy nazajutrz, czekało nas równie gościnne przyjęcie i możność poznania całego kompleksu szkół gospodarczych, których ta miejscina, posiadająca zaledwie 15.000 mieszkańców, liczy kilkanaście, a wśród nich: szkołę wyższą męską i żeńską, seminarjum, szkołę gospodarczą ludową dla dziewcząt i takąż dla chłopców, przemysłową, gospodarstwa domowego itp. Takie nagromadzenie szkół w jednej miejscowości ułatwia korzystanie z sił nauczycielskich, wyspecjalizowanych w różnych dziedzinach, pobudza do życia i postępu. Większość szkół ma nowe, okazałe budynki i zaopatrzone jest w pierwszorzędne pomoce naukowe.

Metoda zapoznawania nas z charakterem tych szkół była inna, niż w Uhrzynewes, ale niemniej praktyczna. P. Dyrektor zaprowadził nas przedewszystkiem do wspaniałej auli, w której miejsca były tak rozmieszczone, że zewsząd było widać doskonale katedrę z tablicą, po której odsunięciu, ukazywała sięстрада do produkcji artystycznych. Tu opowiedział w sposób niezmiernie żywy i zajmujący historję powstawania i rozwoju szkół, dał ich charakterystykę i obraz obecny, poczem przeszłyśmy do szczegółowego zwiedzenia gmachu i urządzeń szkolnych. Studenci i studentki mieszkają w mieście, gdyż szkoła główna nie posiada internatu.

W drugim gmachu mieści się szkoła ludowa i seminarjum, liczące jednak tylko 9 uczennic. Wszyst-

kie szkoły czeskie urządzone są kosztownie, a jak na nasze pojęcia, nawet zbyt kosztownie; personel jest liczny i utrzymanie tych szkół stanowi niemały ciężar dla państwa, albo instytucyj samorządowych, które na nie łożą. Poziom nauczania jest wysoki, kuchnie urządzone i prowadzone zupełnie nowoczesnie; natomiast ogrodnictwo i hodowla stoją względnie słabo, zarówno pod względem rozplanowania, jak i utrzymania.

Najpiękniejsza i prowadzona z największym życiem, werwą i kulturą jest szkoła w Czeskim Brodzie, którą zwiedzałyśmy trzeciego dnia. Prowadzi ją p. Jana Bednarzykowa, którą poznałam na Kongresie rzymskim i wtedy już byłam gorąco przez nią zapraszana. Szkoła mieści się w przeszlicznym, nowym gmachu, posiada czytelnię, zaopatrzoną w kilkanaście pism, ładną bibliotekę, wykwintne mieszkania dla kierowniczk i nauczycielek, urządzone z komfortem i smakiem, kuchnie, zaopatrzone w sprzęty, ułatwiające pracę i utrzymane w porządku, słowem — całokształt wzorowy.

Przyjęcie, które dla nas przygotowano, było wyśmienicie ugotowane i wykwintnie podane; żałowałam, że p. Elżbieta nie brała udziału w tej wycieczce, bo nawet jej wybredna kompetencja nie byłaby tam znalazła nic do przyganienia, a natomiast wiele do pochwalenia.

Z Czeskiego Brodu pojechaliśmy dwoma autobusami, które przysłano do naszej dyspozycji, do Chracztan, potem do Bylan, gdzie zwiedzałyśmy typowe czeskie gospodarstwa, będące w rękach jednej rodziny od kilkuset lat. Prostota łączy się tam z komfortem, wyteżona praca — ze swobodą i zabawą. Zasadnicze cechy charakteru Czechów: bezgraniczne umiłowanie ziemi i poszanowanie, więcej nawet — kult dla pracy — cechowały te gospodarstwa, których właściciele ma złączyć wkrótce węzeł rodzinny, gdyż uroczą p. Helena wychodzi za p. Hormanka, potomka starej szlacheckiej rodziny.

Czy potrzebuję pisać, że i tam byłyśmy przyjmowane z prawdziwą słowiańską gościnnością? Doprawdy, trzeba było wielkiej wytrzymałości, aby nie ulec pokusie spróbowania każdego z niezliczonych gatunków przewybornych ciast, których coraz to nowe kosze zjawiały się na stole.

Ostatnia wycieczka dała nam poznać szkołę ogrodniczą dla dziewcząt, typu, którego u nas dotychczas niema, łączy się bowiem z nauką gospodarstwa domowego i drobiu. Szkoła jest w trakcie organizacji pod kierunkiem bardzo dzielnej i wykształconej ogrodniczki, która dąży do wprowadzenia amerykańskich metod pracy i kuchni jarzynowej, do której czesi okazują mało upodobania.

Z pośród instytucyj społecznych najbardziej imponował nam „Żeński dom“, zakrojony na bardzo dużą skalę — wynik energii, przedsiębiorczości i rzutkości Czeszek. Jest to gmach 5-cio piętrowy, mieszczą-

cy restaurację, pralnię, hotel dla przyjezdnych, dla studentek, kobiet samotnych pracujących, dla robotnic i służących. Posiada biuro pośrednictwa pracy, kąpiele, fryzjernię i manucure, kursa fotografii, koronek, szycia, haftu, gotowania, warsztaty dywanów strzyżonych, artystycznie wykonanych, w których pracują kobiety, niemogące inaczej zarobkować, np. głuchonieme, ułomne, niezupełnie rozwinięte i t. p. Jest to akcja społeczna dużej wartości, prowadzona umiejętnie i rachunkowo, popierana przez miasto, rząd i instytucje prywatne; które udzielają zamówień, lecz poparcia pieniężnego nie dają. Ciekawe są szczegóły powstania tego domu. Oto, mając uzbierane 250.000 koron, decydują się dzielne Czeszki na budowę domu, którego kosztorys wynosi 5½ miliona. Dostają 2½ miliona pożyczki, gwarantowanej przez rząd, 600,000 k. pożyczają bez żadnej gwarancji, płacąc 14% od tej sumy; na resztę dają gwarancję na własnych majątkach, mimo protestów małżonków, którzy obiecują im „więzienie za długi“. Ale nic podobnego im nie grozi:—umieją liczyć i umieją administrować, to też przedsiębiorstwo jest na dobrej drodze nietylko do oczyszczenia hipoteki, ale i do dalszego rozwoju.

Opis mój, z konieczności bardzo skrócony, nie byłby zupełny, gdybym nie wspomniała o Zjeździe gospodyń czeskich, w którym wzięłyśmy udział, a z którego obszernie sprawozdanie było umieszczone w poprzednich numerach „Bluszczu“. Ciekawy to był Zjazd, łączył bowiem gospodynie wiejskie z miejskimi i zorganizowany był w sposób praktyczny i pouczający.

Przedewszystkiem — posiadał jednolity program, gdyż wszystkie, bardzo krótkie i zwięzłe referaty, których było 9, zmierzały do uwypuklenia jednego tematu: unikania strat w gospodarstwie domowym.

A więc: unikanie strat przy gotowaniu, przy odżywianiu, przy kupowaniu, praniu; wpływ nauki gosp. domowego na unikanie strat; urządzenie kuchni i wpływ jego na unikanie straty czasu i pracy; nabywanie produktów spożywczych z punktu widzenia higienicznego i narodowo-społecznego.

Zdawałoby się, że takich 9 referatów powinno wymagać conajmniej dwudniowych zebrań; tymczasem p. Pelantowa tak sprężysto prowadziła obrady, a mówczynie tak rzetelnie unikały rozwlekłej gadaniny, że referaty, rozpoczęte o 9-ej, były wygłoszone z chwilą wybicia 12-ej, a 2 pozostałe godziny poświęcono dyskusji, w której się wypowiedziało kilkanaście osób, a na zakończenie — przemówieniom zagranicznych gości, serdecznie i owacyjnie przyjmowanym.

Uważam, że jest to bardzo praktyczny zwyczaj — umieszczanie przemówień gości na końcu, to jest wtedy, gdy goście już są obeznani z charakterem Zjazdu i zamiast banalnej frazeologii powitalnej, mogą wypowiedzieć myśli, które im charakter i treść zgromadzenia nasunęły. Okazało się dobitnie, jak łatwo dwa słowiańskie narody mogą się między sobą porozumieć.

Każde słowo, każda myśl, wypowiedzana przez Czeszki, były dla nas zrozumiałe, co więcej: te same troski, które one wyrażały, i u nas dają się odczuć; to samo szczęście — z powodu jednocześnie odzyskanej niepodległości — łączy nasze pobratymcze narody; to też w przemówieniach zaznaczyło się bardzo silnie dążenie do zbliżenia nietylko doraźnego, ale stałego, coś w rodzaju „Fédération des ménagères des pays du Nord“.

Żegnałyśmy się z obustronnem pragnieniem ujrzenia naszych znajomych w Polsce i zacieśnienia węzłów sympatji, które się pomiędzy nami już w Rzymie zadzierzgnęły. Na przyszłorocznej wystawie w Poznaniu, a zapewne i w Warszawie, będziemy miały sposobność odwdziżyć się Czeszkom polską gościnnością za serdeczne przyjęcie, jakim nas obdarzyły.

M. Karczewska

FLORALIES W GANDAWIE

Antycznie brzmiące, dźwięczne to miano noszą sławne pokazy kwiatów, od wieku przeszło odbywające się w stolicy belgijskiego ogrodnictwa. Co pięć lat ześrodkowuje się tutaj zainteresowanie całego kraju i międzynarodowego ogrodniczego świata.

Śliczna, średniowieczna Gandawa przeistacza się na krótki okres wiosenny: spokojne życie prowincjonalnego miasta nabiera tempa wielkomiejskiego. Ciche placyki targowe napełniają się łśnjącami samochodami, uliczki o odwiecznych, wąskich domkach, urocze mostki i zakątki rozbrzmiewają różnojęzycznym gwarem; wśród szarych baszt odwiecznych zamków, w mrocznych wnętrzach gotyckich kościołów snują się tłumy. Nad sennymi wodami zielonych kanałów huczą trąbki i motory.

Radostnie, uroczyste obchodzi święto kwiatów sędziwa Flandrja.

Dzieje Florales, to okres przeszło wiekowy wytrwałej, celowej pracy.

Jakże skromniutko przedstawiał się pierwszy pokaz kwiatów w 1809 roku we Frascati, małej gandawskiej oberży! Pośród tamtejszych ogrodników powstała była myśl zebrania najpiękniej wyhodowanych, najrzadszych kwiatów, przyczem zastrzeżono, że każdy uczestnik może wystawić tylko dwie doniczki. Wystawa obejmowała 50 okazów, pierwsza nagroda wartości 12 franków, przeznaczona dla hodowcy róży mchowej, nie została nikomu przyznana: nikt nie mógł się poszczycić wyhodowaniem tak rzadkiego naówczas kwiatu, dziś niemodnego i zarzuconego przez ogrodników, spotykanego jeszcze niekiedy w klasztornych zaciszach, lub wiejskich ogródkach.

Za patronkę obrało sobie grono ogrodników św. Dorotę, męczenniczkę z IV-go wieku, o której



Hala wystawowa, w której odbywają się corocznie „Florales“.

przechowała się poetyczna legenda w związku z cudownymi kwiatami.

W kilka lat później nadaje holenderski król Wilhelm I Stowarzyszeniu Ogrodników tytuł „Stowarzyszenia królewskiego“ i udziela mu herbu. Wiosenne wystawy i konkursy odbywają się regularnie. Nazwę Florales dał im niejaki Cornelissen, sekretarz Towarzystwa, erudyta, zamiłowany w badaniach starożytnych. W setną rocznicę powstania chlubiły się Florales setką tysięcy okazów. Otoczone opieką i popierane przez królów belgijskich, rozwijały się coraz wspanialej, wykazując w każdym pięcioleciu następnym coraz większe bogactwo i różnorodność okazów.

Przerwała długi ten cykl światowa wojna. Zdawało się, że zrujnowana, skrwawiona Belgja nieprędko zdoła odbudować zniszczone ogrodnicze warsztaty — jednak już w 1923 r. ogłasza Gandawa Florales i z głębokim rozradowaniem stwierdza swoją żywotność i energię. Tysiące ogrodników wystawia znów troskliwie wypielęgnowane rośliny, obcy podziwiają niesłychaną pracowitość i ogromny wysiłek ciężko doświadczonego narodu.

Tegoroczne Florales przewyższyły, podobno, wspaniałością i rozmiarami wszystkie dotychczasowe. Ostatnia niedziela kwietnia zamknęła hucznym akordem uroczysty tydzień.

Przepłynęły dziesiątki tysięcy ludzi przez białe sale Palais des fêtes. Specjalne pociągi zwoziły z całego kraju ciekawe tłumy, rozmówane w kwiatkach, dumne z narodowej wytwórczości; turyści zagraniczni, zawodowcy i amatorzy ogrodnicy ścignęli z sąsiednich krajów.

Ustroiły się szare mury zielenią, ukwieciły skweiry, w narodowe barwy przybrało się miasto na przybycie królewskiej pary, otwierającej tradycyjnie wystawę.

Na wstępie, z marmurowych galeryj — rzut oka wdół: morze barw, przepych, bogactwo. Azalje! Duma i sława Gandawy! Obfitość kwiecica! rozmiary pojedynczych okazów wprost przygniatające! Każda do-

niczka — to krzak przebogaty, a barwy?! Najsztudniej-sze półtony: różane, kremowe, złotawe, szkarłat, amarant, fiolety! Malowniczo, choć sztucznie, wyglądają cięte misternie azalje, kwiat wogóle trochę sztywny i mało indywidualny. To bukiet — całość, plama.

Wspaniałe dwa klomby azaljowe olbrzymich rozmiarów świadczą o tem, jak nadzwyczajne efekty barwne osiągnąć można z umiejętnego zestawienia tych kwiatów.

Druga atrakcja — storczyki, dziwnie pociągające zawsze urokiem egzotyizmu i niezwykłości. Zebrano najwspanialsze okazy Belgji i całego świata; urzędowo efektownie cieplarnianą halę. W błękitnym basenie kaskady szmerzącej wody, jak w marokańskich ogrodach. Na tle wachlarzy palmowych i tropikalnej roślinności — tysiące bajecznych oczu kwiatowych...

Kołyszą się wdzięcznie girlandy śnieżyste, lila, o płatkach prawie przezroczystych. „Gołąbki“, „Molyte“, „Łabędzie szyje“, „Kwiaty Ducha Świętego“ — oto ich nazwy.

Gdzieindziej — grona bladożółte, o karmazynowych wnętrzach — szafranowe kiście brunatno nakrapiane, jak skóry lamparcie. Tam — dziwacznie szare, zielone, brązowe, dające niezwykle wrażenie półkwiatów, półzwierząt. A te — ognisto-różowe, o jednym, nieregularnym płatku, przywodzą na myśl flamingi barwą i fantastycznymi skrętami wydłużonego słupka. Tam — drobne, czerwone gronka, tu — lila i fioletowe, spokojne, jakby kosańce ogrodowe. Wszystkie kształty, wszystkie barwy!

W następnych halach — przedziwne kaktusy, i różne podzwrotnikowe cuda.

A potem — dziś trochę zarzucone amarylisy, araukarje, cynerarje, z którymi wystąpili gandawscy starszego autoramentu.

Obce działy przedstawiają się bardzo ciekawie.

Holandja przysłała, oczywiście, tulipany i inne cebulkowe rośliny. Są cyklameny o cudownych odcieniach, rododendrony i japońskie wiśnie.

Francja pyszni się sławnymi swemi hortensjami. Gamy pastelowych tonów, wytworność, elegancja francuska.

Dużo ciekawych roślin z Prowancji: różana „pergola“, paprocie z księstwa Monaco.

Angielska sekcja przedstawia wspaniałe owoce, jarzyny i cudowne goździki.

Trudno zresztą wyliczać. Wrażenie Florales jest potężne i niezwykle, imponujące rozmiarami szczególnie i bogactwem. Układ artystyczny nie dorównał może zamiarom. Ale Gandawa, sama tak cudnie piękna, stanowi tło wspaniałe i zostawia wspomnienie jedyne. Połączenie średniowiecznej powagi jej murów z barwnym urokiem kwiecica — wywiera niezatarte wrażenie.

T. Retniger Zubrzycka.



NA WYCIECZKĘ

Prawie przy każdym wyjeździe na wycieczkę dalszą, czy to zbiorową, czy też jednej rodziny, powstają poważne trudności, pochodzące z niemożności praktycznego, wygodnego upakowania potrzebnych przyborów i prowiantów. Do tego koszyka nie mieści się wszystko, ten drugi ma urwane ucho; w walizce wszystko się pogniecie, kilku pakunków zabrać niesposób, bo któż to wszystko będzie dźwigał od kolei, lub statku?! W aucie też miejsca wszystkie są zgóry obliczone i pozajmowane, wszelkie drobne pakunki zawadzać będą. Rwetes w domu, chaos, uciążenie gospodyni i pomagających jej w przygotowaniach domowników.

Otóż możnaby temu wszystkiemu poniekąd zaradzić, urządzając raz nazawsze takie sobie pogotowie wycieczkowe. Jeżeli chodzi o młodzież, udającą się na dalsze wycieczki, to, oczywiście, najpraktyczniejszym rozstrzygnięciem kwestji jest zaopatrzenie każdego wycieczkowicza w termos, przewieszony na rzemieniu przez ramię i napełniony, zależnie od pory roku, gorącą lub zimną kawą, czy mlekiem, i indywidualny pakiecik z chlebem z masłem i mięsem, lub — co jest i smaczne i pożywne — pasztet z mięsa czy ryby, upieczony odrazu w kształcie ówierc lub półkilowego bochenka. Taki pakiecik można wygodnie włożyć do plecaka, albo nawet do szerokiej kieszeni. Parę pomarańcz lub jabłek dokompletują posiłek i dadzą się też zmieścić w plecaku, czy kieszeniach.

Chodzi mi tu o wycieczki rodzin całych, lub towarzystw zbiorowych, do których każdy, biorący udział w tej imprezie, coś ze swojej strony wnieść musi.

Są w handlu wspaniałe, skórzane nesesery, zaopatrzone w przeróżne utensylja: nakrycia, naczynia do przygrzewania, maszynki spirytusowe, sztuce i t. p. Bardzo praktycznie obmyślane, są one jednak dosyć ciężkie, przeważnie przeładowane drobiazgami gwoli pewnemu komfortowi biesiadników, nakoniec — bardzo kosztowne.

Przy pewnej pomysłowości i zręczności można w domu wykonać wygodny i niekosztowny kosz, mieszczący w sobie wszystko, czego na wycieczce potrzebować możemy. Niezbyt duży, lecz głęboki kosz, taki, aby w jego wysokości średniej miary, szeroka, czworokątna butelka (jakich wiele firm do likierów używa) zmieścić się mogła, z płaskim wierzchem — wyklejamy na dnie i w pokryciu ceratą. Jednocześnie wykrawamy pas ceraty wysokości kosza, dodając trochę na zachylenie brzegów. Dopasowujemy ten pas do czterech ścian kosza, jednak nie przymocowując go do nich ostatecznie. Na tym pasie naszywamy z drugiego, równej z nim szerokości, lecz znacznie dłuższego pasa, odpowiednie jakby koperty, czy torebki (jednak bez dna): na jedną lub dwie takie kwadratowe, niskie butelki; na dwie, cztery lub sześć

szklanek — takiego kształtu, aby jedna w drugą przynajmniej po trzy wchodziły; na tyleż niedużych talerzyków (znów ułożonych jeden na drugim); na tyleż sztućców, łyżeczek i nakoniec na serwetki, ściereczki — i parę zapasowych. Więcej, niż na sześć osób, takiego koszyka sporządzać nie radzę, gdyż będzie za ciężki. Pożądaniem, oczywiście, jest, aby wszystkie naczynia były alur injowe, jako lekkie i niebijące się, jednak w takim opakowaniu szkło i porcelana też nie są narażone na stłuczenie. O ile zabieramy jakieś spirytualja, należy pomyśleć o miejscu na kieliszki.

Należy w pierw sobie dobrze obmyśleć, czego potrzebować możemy, wszystkie przedmioty zebrać i doskonale wymierzyć miejsca, na nie przeznaczone.

Teraz dopiero wkładamy do kosza pas ceratowy z torebkami, jeszcze raz mierzymy przedmioty, które w nim mają znaleźć miejsce, i dopiero wtedy przyzywamy go dużemi ściegami mocnych nici w czterech rogach i przy brzegu kosza. Na dno jego układamy jakiś gruby obrusik: na nim stawiamy lekki, aluminiowy, nieduży rondel, do którego wkładamy małą maszynkę spirytusową, płaską buteleczkę spirytusu do palenia i paczkę zapalek. O ile posiadamy jeden lub dwa termosy, taki rondel i maszynka będą zbyt ciężkie, gdyż gorącą kawę, czy mleko, a nawet dobry rosół, możemy zabrać w tych termosach. Pozostałe w środku kosza miejsce napełniamy wiktuałami, przeznaczonemi na śniadanie, obiad lub podwieczorek. Staranny ich dobór będzie stanowił o udaniu się posiłku.

W pierwszym rzędzie idą, oczywiście, kanapki, najłatwiejsze do przygotowania. Najlepiej robić angielskie sandwich'e, z obu stron pokryte cieniuchną warstwą chleba lub bułeczki. Nie gniją się one i nie kruszą tak łatwo, jak zwykle, odkryte kanapki. Nie powinny też być robione ze zbyt ostrych produktów, aby po zjedzeniu nie budziły zbyt pragnienia. Szynka, polędwica, łagodny ser, sardynki, szproty, jaja; — jeżeli kanapki są główną podstawą posiłku — pieczeń wołowa, cielęca, lub wieprzowa są też wskazane; natomiast śledzi, kilek, kiełbas mocno wędzonych należy unikać, dla wyżej wymienionej przyczyny.

Nadzwyczaj wygodne do pakowania, przewożenia i spożywania są nieduże pasztety w kruchem lub drożdżowym cieście, nadziewane bądź farszem pasztetowym, bądź też takim, jaki się do kulebiak przyrządza: — mięsny, rybny, a nawet ryżem z grzybami, czy móżdżkiem, kapustą i t. p. Nie należy ich tylko robić we francuskim, listkowym cieście, gdyż przy najlżejszym ścisnięciu rozpadną się zupełnie. Dla tej samej przyczyny nie należy zabierać ze sobą ciastek cukierniczych, szczególnie kremowych Kurczęta, lub gołębnie pieczone, smacznie nadziane, kawał pieczeni cielęcej, wieprzowej lub wołowej, bez kości, w cienkie plastry pokrajanej, znów w całość

ułożonej i w mocny pergamin zawiniętej; do nich słoik musztardy, lub sosu majonezowego, chleb czy bułki też już pokrajane, lecz złożone w całość — ewentualnie po uprzednim posmarowaniu masłem i złożeniu po dwa kawałki. Z ciast najlepiej znoszą drogę keks, piaskowiec, lub babka.

Owoce należy brać tylko niegniotące się, jak: jabłka, gruszki, pomarańcze, śliwki, wiśnie i t. p. Maliny, truskawki, poziomki lub porzeczki możemy nasypać w kompotjery od Wecka, przesypać obficie cukrem, zamknąć szczelnie, zacisnąć metalową sprężynę i wstawić w jeden z przedziałów, na butelki przeznaczonych. W braku świeżych owoców, możemy taksamo ulokować słoje zimowego kompotu, co po posiłku, składającym się z zimnych mięs, szczególnie dobrze smakuje. Raz zrobiony, taki koszyk wycieczkowy trwać może lata i oszczędza kłopotu przy każdej poszczególniej wyprawie. W aucie może stać na stopniach, w wagonie na półce — nie tak łatwo się zapomina, jak drobne przedmioty — a że jest nieco przyciężki, to panowie, a i panie co młodsze i silniejsze — mogą go nieść kolejno, ewentualnie parami, zawieszony na lasce, co znakomicie zmniejsza ciężar i pomaga do zabawy. *Pani Elżbieta.*



ZAPASY NA WYCIECZKI

PASZTET Z WĄTRÓBKİ CIEŁĘCEJ

Kilo wątróbki cielęcej wymoczyć dobrze, obciągnąć z błonki, udusić z pół kilo tłustego boczku wieprzowego, pięcioma cebulami, kilku ziarnkami pieprzu, soli, paru goździkami i listkiem. Oddzielnie ugotować pół kilo kartofli w łupinkach, oczyścić z nich, dopóki gorące. Wszystko to razem przepuścić dwa razy przez maszynkę, dodając przy drugim kręceniu dwie lub trzy bułeczki (warszawianki), wymoczone w wodzie lub mleku. Wbić w to dwa jaja całe, osolic do smaku, dodać nieco tłuczonego pieprzu, otartej skórki cytrynowej, utartej gałki muszkatołowej, jeśli jest — kieliszek wina i z pół szklanki rosółu lub śmietany, aby farsz nie był zbyt twardy. Sześciedziąt deka mąki i trzydzieści deka tłustego masła lub smalcu, łyżeczkę soli i kilka łyżek kwaśnej śmietany zagnieść na kruche ciasto, rozwałkować cienko i wyłożyć niem foremkę podłużną od keksu. Napełnić farszem, zasklepić starannie ciastem, nakłuć w paru miejscach widelcem, aby para wychodziła, i upiec do silnego zrumienienia. Kto lubi grubszą warstwę ciasta, może brać całe kilo mąki na tę ilość nadzienia. Za-

miast jednego dużego pasztetu, można zrobić sześć niedużych, w kształcie małych bochenków chleba i upiec na blasze od mazurków. Po doskonałym wystudzeniu, taki pasztet duży, lub takie małe pasztety, zawinięte w mocny pergamin, są doskonale na wycieczki, gdzie zawsze apetyty są specjalnie zaostrzone.

PASZTET Z KURCZĄT LUB RYBY

Dwa spore kurczaki ugotować, jak na rosół, z młodą włoszczyzną. Gorące jeszcze zdjąć z kości nie drobiąc jednak zabardzo mięsa. Ugotować trzy jaja na twardo i piętnaście deka ryżu na sypko, nie przygotowując zbyt; gotować go należy na rosolu od kurcząt, którego jedną szklankę należy pozostawić na dalszy użytek. Jeśli rozporządzamy pieczarkami, należy kilka z nich drobno pokrajać i przesmażyć w łyżce masła wraz z drobno pokrajaną cebulą. Z 75 deka mąki, czterdziestu deka masła lub smalcu, łyżeczki soli i wody lub śmietany zagnieść kruche ciasto, rozwałkować cienko i wyłożyć niem długą foremkę od keksu. Warstwami kłaść w nią ryż, kurczęta, jaja pokrajane w plastry, ewentualnie pieczarki, wszystko przesypując drobno posiekanym koperkiem. Gdy wszystko ułożone, zasklepić starannie ciastem, nakłuć widelcem, aby para wychodziła, i upiec do silnego zrumienienia. W pozostałej szklance rosółu rozpuścić pięć listków białej żelatyny, wpieryw rozmozonej w zimnej wodzie. Gdy pasztet upieczony i nieco przestygnie, zrobić w nim nieduży otwór u góry i wolno przez lejek wlać doń tę galaretkę i zastudzić zupełnie. Wyborny jest do zabierania na wycieczki. Zamiast jednego dużego pasztetu, można zrobić z tej ilości sześć do ośmiu mniejszych; należy jednak wziąć nieco więcej mąki i masła na ciasto. Zupełnie tak samo robi się pasztet z ryby, biorąc kilo ryby bez ości już, czyli gotując o ćwierć więcej ryby. Do smaku kładzie się wtedy cebulę i pieprz, zamiast włoszczyzny. Najlepiej się do tego nadaje: szczupak, lin, okoń, lub sandacz.

GALANTYNA Z CIEŁĘCINY

Dużą, białą łopatkę cielęcą wyluzować starannie z kości, starając się jaknajmniej uszkodzić mięso. Rozłożyć napłask na desce. Mięsa resztę oskrobać z kości, zemleć z pół kilo obrzynków od tłustej szynki i trzema bułeczkami, wymoczonymi w wodzie lub mleku, osolic do smaku. Farsz ten rozsmarować równo na mięsie, ułożyć na nim trzy jaja, ugotowane na twardo i pokrajane na ćwiartki, ćwierć kilo szynki lub ozora, pokrajanego w pasy; jeśli jest, nerkę cielęcą, lub kawał wątróbki, pokrajane w plasterki; zwinąć mocno, jak roladę, zaszyć, zawinąć w płótno, osznurować szpagatem. Kości z włoszczyzną ugotować na smak w wanience do ryby, włożyć galantynę i gotować dwie i pół godziny na wolnym ogniu. Po ugotowaniu, godzinę trzymać w smaku, potem wyjąć na deskę, przycisnąć drugą i ciężarkiem. Gdy ostygnie, rozsznurować, płótno zdjąć, wypłókać je naprzód w wodzie, potem w occie, i owinąć niem powtórnie galantynę, z której tymczasem usunęliśmy nici, jakimi była pozszywana. Biorąc na wycieczkę, pokrajać w plastry, zawinąć naprzód w płótno, zmoczone octem, a potem dopiero w gruby pergamin.

SANDWICHE NA WYCIECZKĘ

Wczorajszy chleb, lub długą bułeczkę (świeży, dzisiejszy, nie daje się ładnie krajać) otrzeć ostrą tarką ze skórki i pokrajać jaknajcieniej. Przygotować trzy gatunki mas do posmarowania ich; połowę skibek posmarować grubo temi masami, poskładać po dwie, złożyć znów w całość (każdy gatunek sandwich'ów oddzielnie, gdyż zakryte z obu stron, trudno odróżnić przy podawaniu), zawinać w mocny pergamin i zabierać w drogę. 1-sza masa: dwadzieścia deka gotowanej szynki i piętnaście deka masła śmietankowego przepuścić razem przez maszynkę, wraz z trzema jajami, na twardo ugotowanymi, i łyżką łagodnej francuskiej musztardy; 2-ga masa: cztery sardynki, cztery jaja, na twardo ugotowane, dziesięć deka masła przepuścić przez maszynkę i zmieszać z czterema łyżkami gotowego sosu majonezowego; w braku sosu, bierzemy podwójną ilość masła. 3-cia masa: dwadzieścia deka masła i tyleż sera śmietankowego utrzeć doskonale w miseczce; kto lubi, może wlać w to kieliszek madery i wsypać odrobinę białego pieprzu.

Z tej ilości wyjdzie około 100 sandwich'ów, — czyli trzeba mieć 4 angielskie bułeczki z formy, lub odpowiednią ilość chleba.

BUŁECZKI NADZIEWANE

Małe, okrągłe bułeczki domowe, lub kupne, bardzo się też dobrze nadają do zabierania na wycieczki. Nie przekrawając ich, robimy z boku każdej mały otwór ostrym nożykiem, łyżeczką od kawy wyjmujemy ze środka miękisz, i tą drogą napełniamy je jednym z wyżej podanych farszów, lub też drobno pokrajanem mięsem: szynką, cielęciną itp., zmieszana z paru łyżkami majonezowego sosu, — otwór zasklepiamy wyjętym kawałkiem bułeczki i zawijamy w pergamin.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Nie mając w lecie lodu, można obniżyć temperaturę wody następującym sposobem. Do 2 lub 3 litrów wody wsypać saletry w proszku i wlać amonjaku tyle, aż temperatura spadnie poniżej zera, co się sprawdza zapomocą termometru. Wtedy wstawić w wodę rzecz, przeznaczoną do ostudzenia, a będzie zimna, jak z lodu.

* * *

Inny sposób chłodzenia potraw bez lodu jest następujący: $\frac{1}{2}$ kilo solanu wapna rozpuścić w 4 litrach wody, a gdy dobrze wymieszane, wpuszczają po kropki kwas saletrzany, póki płyn nie stanie się bardzo zimny. Wtedy wstawić weń wodę do picia, piwo, zupę, kompot, galaretę etc., jednym słowem wszystko, co chcemy mieć zimne.

KORESPONDENCJE

Pani M. B. — Czeladź. Podpinki, o ile chodzi o trwałość, należy robić białe. Moda kolorowej bielizny pościelowej jest, jak wszystko, co niepraktyczne, tylko przelotna. Można dla oryginalności mieć jedną, najwyżej dwie podobne sztuki, zasadniczo jednak sprawa należy tylko białą bieliznę. Fartuszki przypina się na te same guziki, a do kopert nie robi ich się wcale, zadawalając się ozdobieniem mereżką samych kopert, a obszyciem koronką — wycięcia

Pani A. P. — Tuka. Terminy walnych zebrań ogłaszane są w „Monitorze Polskim” oficjalnie, jak również w codziennych piśmie — jak np. „Kurjer Warszawski”. Kupony może zrealizować każdy w każdym banku, bez żadnego upoważnienia.

Pani Z. E. — Łódź. Wkrótce wyjdzie zeszyt „Modnych Robót”, (cena 2 zł.), zawierający sposób wykonania friwolitek. Nie umiem wskazać Sz. Pani innego wydawnictwa. Robota ta, trochę staroświecka, nie ma wielkiego powodzenia obecnie. Niech Sz. Pani poczeka na zapowiedziane „Modne Roboty”, które wyczerpująco traktować będą ten rodzaj robót.

„ZIMNE NAPOJE“

SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA KRUSZONÓW,
LIMONJAD I RÓŻNYCH ZIMNYCH NAPOI

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM
HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem” przeciw zmarszczkom „Mój puder”, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i fojotok. Perekki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe i ziołowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.